

Pismo W yższego Sem inarium Duch ow nego w Przem yś ł

Na mojej drodze

- | | | |
|----|--------------------------|---|
| 6 | k .I.Mariusz Majewski | Jubi łusz O jca - 20 łat pos ługi bisk upie j
J.E.k s .abpa Józefa Micha łka |
| 8 | k .I.Krzysztof Mendzios | 'Sol Deo' czyli rzecz
o Prymasie Tysiąclecia |
| 9 | s .E żbie ta | By łam tam , gdy odchodzi ł |
| 12 | k .I.Marcin Pi łszko | Matka Boża na drodze życia
Św . Bisk upa Józefa Pe łzara |
| 15 | k .I.Micha łKozak | Nadzie ja w drodze |
| 17 | k .I.W a łdem ar H areza | Matka Boża Jack owa |
| 18 | k .I.Marcin Wi ł | 'Fons Om nis Sanctitatis ' |

Spoleczeństwo

- | | | |
|----|-----------------------------|--|
| 19 | k .I.Łukasz Szyde łko | Niepod łę bść trudem pok o łń |
| 20 | k .I.Roman Kocaj | Czy w dzisie jszym spo łeczeństwie
potrzebny jest kap łan terapeuta ? |
| 22 | k .I.Bartosz Zak szewski | Przyjaźń, co to takiego ? |
| 24 | s .E żbie ta Ś łęmp | Poświęcenie kap łcy w D źwiniacze |
| 25 | k .I.Krzysztof Mierzejewski | Jak rozam wiać o h om oseksua łzm ie ? |

Modlitwa

- | | | |
|----|-----------------------|------------------------------|
| 28 | k .I.Kam i łGniwek | Pozwó łk och ać się Jezusowi |
| 29 | k .I.W ojciech Baciór | Mod łący się zakonnik |

Na mojej drodze

- | | | |
|----|---------------------|--|
| 31 | k .I.Grzegorz Rupař | Eucharystia spotkaniem z ak och anych |
| 33 | k .I.Marek Kap łn | Eucharystia w moim życiu |
| 34 | k .I.Andrzej Dec | Św . Bp . J . S . Pe łzar o dziek czynieniu
za dar Kom unii Świętej |

Święci

- | | | |
|----|---------------|---|
| 36 | Bartosz Gręda | Sługa Boża Anna Jęnk |
| 38 | Łukasz Sowa | Sługa Boży Ojciec
Wenandy Katarzyniec, franciszkanin |

Sanktuaria

- | | | |
|----|----------------|--|
| 40 | Łukasz Babiarz | Sanktuarium Matki Bożej Szkapłrznej
w Łańcucie |
| 41 | Dariusz Gibała | Słownik o Matce Bożej
Królowej Bieszczad w Jasieniu (Rudki) |

Książka

- | | | |
|----|--------------|---|
| 42 | Marek Kapłon | Boskie Oblicze - Całun z Manoppelle -
Drugi Świadek Zmartwychwstania |
|----|--------------|---|

Rozmaitości

- | | | |
|----|---------------|--------------------------------|
| 43 | Piotr Kokocki | W dobrych zawodach występujemy |
| 45 | | Poezja |

Kronika życia seminaryjnego

- | | | |
|----|-----------------------|---|
| 47 | Michał Kozak | Po raz pierwszy po latach |
| 52 | Łukasz Jaszczybski | Coś więcej na Zamkowe 5 |
| 53 | Dariusz Gibała | Inauguracja roku akademickiego
2006/2007 |
| 55 | Kamili Gniewek | Rekolekcje |
| 56 | Łukasz Nycz | Dzień Papieski, 20-cie Sakry Biskupiej |
| 56 | Paweł Bugira | 50. rocznica uwolnienia
Kardynała Stefana Wyszyńskiego |
| 57 | Łukasz Nycz | Listopad, czas zadumy nad przemianami |
| 58 | Mariusz Majewski | Seminaryjne zaręczyny,
czyli obchody roku trzeciego |
| 59 | Łukasz Sowa | W seminaryjnym żłobku |
| 61 | Bartłomiej Zakrzewski | Szkolamodlitwy |

Zamiast Wstępu

Żył kiedyś Mały Król Czarnodziej. Był on jednym z tych, którzy każdego roku wyruszają w drogę, gdy tylko ukazują się im gwiazda. Ruszają by dać światu o tym tajemnicy Bożego Narodzenia. W tym roku kołował na niego. Było to zadanie bardzo ważne i Mały Król oczekiwał ze zrozumiałą niecierpliwością zbliżania się Bożego Narodzenia.

W sercu Małego Króla panowało jednak trochę lęku. W ostatnich latach kołował Król bowiem Mędrcy napotykał na wielkie komplikacje. W 2001 r. Król który podążał za Gwiazdą zgubił się po atakach terrorystycznych w Nowym Jorku. Kołujący Król został uwięziony jak zakładnik przez bandę partyzantów Ibańskich i pomimo że błagań nie udało mu się wydostać na wolność na czas, by pójść za Gwiazdą. Inny znowu w ogóle nie przyszedł na świat, gdyż rodzice zdecydowali się, że go nie chcą. Zrozumiał więc, że Mały Król żył w oczekiwaniu pełnym lęku.

Wreszcie pewnej zimnej nocy grudniowej Gwiazda nadeszła. Świeciła bardzo jasno. Małemu uszczęśliwionemu Królowi wydawało się, że może ją dotknąć, wydiagajac ramię. Zaprośenie Gwiazdy było stanowcze. Mały Król pobiegł po dar, który starannie zapakował, wydiagnął garaż samochodowy i pojechał śladem za Gwiazdą, która sunęła po niebie, jak kółko na zrenesansowym ścieżniku. "Czy tylko ja jeden widzę Gwiazdę?" - pytał siebie. Potem pomyślał, że prawdopodobnie wszyscy mogliby ją zobaczyć, a dziś jej ludzie spieszą się bardzo i mają mało czasu i chęci, by patrzeć na gwiazdy.

Gwiazda przecinała niebo bardzo szybko. Tam w górze ruchu był niejograniczony. Jadąc swym małym autkiem Mały Król napotykał na wiele trudności. Ulce były powykłębione, musiał uważać na światła, na znaki pierwszeństwa, na ruchy jednokierunkowe, na inne samochody i na pieszych przechodzących przez ulicę.

Przykołnym skrzyżowaniu Mały Król stracił oczu Gwiazdę. Wydylił się jak tylko mógł najbardziej z okienka samochodu, starając się odszukać swego przeciwnika.

- Na co czekasz durniu? Światło nie stanie się bardziej zbliżone! - pomyślał i pęknął.

- Idziesz, czy nie idziesz? - warknął inny głos, a hałas kłaków potęgował się.

- Przykro mi - powiedział Mały Król - ale muszę podążać za Gwiazdą.

- Pięknie! Do diabła z tobą i twoją gwiazdą! - krzyknął inni.

Mały Król jeszcze raz przeprosił nadśmiały na pedał gazu. Auto ruszyło podskakując. Po kilku kilometrach Mały Król odnalazł wreszcie Gwiazdę i pojechał za nią. Między innymi, miał nadzieję, że pusztynie. Mały Król nie rozróżniał dnia od nocy, nie myślał o odpoczynku, o głodzie. Żył w niej i był radość spełnienia misji. Pewnego brzydkiego dnia auto raz jeszcze podskoczyło, a potem na próżno próbował je uruchomić; z rozpaczliwym zgrzytaniem wydało ostatni wydech. Mały Król zostawił więc auto na krawędzi ulicy i zaczął podróżować pieszo. Przez chwilę szedł za Gwiazdą, ale ona zbyt szybko poruszała się. Mały Król zobaczył jak Gwiazda znikła na horyzoncie. Ale i tym razem nie zajął się. Zaczęł znów szukać gwiazdy. Znalazł się w dziwnym kraju, w którym wszyscy się bał. Wiele ludzi nosiło na twarzach maski przeciwwgazowe. Po ulicach krążyły człoki, a szybkie jak błyskawice samoloty przecinały niebo.

- Czy widziecie gdzie Gwiazdę właśnie już od innych? - pytał Mały Król innych przechodniów.

- My nie możemy już patrzeć na gwiazdy-odpowiadał.

W nocy w tym kraju potężne refleksy rozświecały niebo, ludzie chowali się w domach lub schronach przedwbitniczych. Nikt nie zatrzymał się, by spoglądać na gwiazdy.

Mały Król nadszedł przez wieś i miasta. W wszystkich napotykanym pytał:

- Czy widziecie wieś i gwiazdę?

Prawie wszyscy kiwnęli głowami albo wyciwili się z niego. Ktoś zaafekowany dał mu 1000 Ików.

Kiedyś posłyszał, jak dwaj mężczyźni rozmawiali głośno o jakiejś "gwiazdzie". Podszedł do nich pełen nadziei. Co za rozczarowanie: "gwiazda", o której mówili dwaj panowie, była kłopotliwa!

Mały Król nadal pytał ludzi:

- Widziecie wieś i gwiazdę?

- Że! Chcesz, dam ci kopniaka, wtedy zobaczysz wszystkie gwiazdy, jakie ty chcesz! - odpowiadał mu gwałtownie.

- Tu jedynie ceny sięgają gwiazd! - mówił zagniewany. - Czy nie widzisz, że pełno tu gwiazd - wybuchnął ktoś inny.

Mały Król obejrzał się i zobaczył, że rzeczywiście dookoła pełno było gwiazd z tworzyw sztucznych i szkła, które wisiały w oknach wystawowych. Były też świeca gwiazdy, zawieszane całym i girlandami na ulicach, były gwiazdy nawet na kłobaskach i w odzie sodowej, piękne różnokolorowe gwiazdy świeciły na chodnikach. Zapomniał, że ludzie przygotowują się do Bożego Narodzenia przy pomocy sztucznych gwiazd, gdyż nie potrafią już odnaleźć prawdziwych.

W pewnym sklepie zobaczył dzieci, które kupowały figurki do żłóbka.

- Czy nie widziecie wieś i gwiazdę?

- O tak - powiedział im - jest tam, w górnej szufladzie i kosztuje 5000 Ików.

- A te ja mówię o prawdziwej gwiazdzie, o gwiazdzie Bożego Narodzenia!

- A te tak nie nadszedeżłoby! - rzekła jakaś dziewczynka.

- Dlaczego robicie żłóbki - pytał Mały Król.

- Aby wziąć udział w konkursie parafii hymn! - chórem odpowiedziały dzieci.

Mały Król wyszedł z miasta i podążył przez pola, gdzie niebo nie było zakryte zbyt wielą światłami i gdzie gwiazdy były dobrze widoczne.

Szedł i szedł. Pewnego deszczowego i śnieżnego wieczoru zauważył światło na brzegu gęstego lasu. Tam właśnie skierował swe kroki. Był śmiertelnie zmęczony i każdy krok kosztował go wiele wysiłku. Światło przenikało z domku zbudowanego z kamienia i drewna. Mały Król zapukał. Mężczyzna, który otworzył mu drzwi wygłaskał się patyczkiem. Poprosił go w ięc o gościnę.

- Wejź! - usłyszał uprzejme zaproszenie. Mały Król podziękował. Bardzo potrzebował odpoczynku i pożywienia. Mężczyzna w miłym tonie przyniósł mu suche ubranie, dobry, świeżo upieczony chleb i filiżankę gorącego rosółu.

- Widzi pan - powiedział pewnej chwili Mały Król - muszę koniecznie znaleźć gwiazdę. Jestem świadkiem Bożego Narodzenia a pozostało mi za dwie kilkadziesiąt dni. Człowiek usmiechnął się smutno.

- Również jak kiedyś szukałem gwiazdy - westchnął ciężko. - Teraz już nie. Nie służy to niczemu. Zapomniał o niej. Nie warto. Niebo nie interesuje się nami.

Mały Król wstał i poszedł.

- Nie! Znajdę gwiazdę! - powiedział stanowczo.

Podziękował za poczęstunek i odszedł. Gdy tylko znalazł się na dworze, ogarnęła go wielka ciemność. Gwiazda tam na niego czekała. Świeciła na niebie zakrytym

przedtem chmurami. Mały Król lodzyskał siły i szczęście przenikało go od stóp do głów. Teraz wiedział, że doprowadzi do końca swą misję. Gwiazda powróciła, by go zabrać ze sobą i już go nie opuści. Gwiazda zaprowadziła Małego Króla na peryferie pewnego miasta. "Zatrzymaj się pewnie nad katedrą!" pomyślał Mały Król. Tymczasem Gwiazda zatrzymała się nad pewnym domem na przedmieściu. Był to budynek podobny do innych, z balkonami w rzędach i antenami telewizyjnymi na dachu. "Boże Narodzenie jest tutaj!" powiedział do siebie Mały Król: "Przedzień również za pierwszym razem miejsce też nie było nadzwyczajne". Przycisnął do piersi pazuśkę z cennym rubinem i wszedł główną bramą. Zatrzymał się w małym przedsionku, w którym zaczynały się schody i zaczął czekać na znak Gwiazdy.

- Nienawidzę ciebie! Nigdy nie odezwę się więcej do ciebie!- usłyszał nagłe. Jakas dziewczynka trzasnęła drzwiami na pierwszym piętrze i w tym momencie przykućnęła na stopniu schodów. Była zagniewana i bardzo jej się chciało płakać. Po chwili drzwi się otworzyły i dziewczynka wyszedł z nich chłopczyk, trzymając dużą bukę w dłoni. Po chwili niepewności dziecko usiadło obok dziewczynki.

Minęła znów chwila. Panowała głęboka cisza. Mały Król wstrzymał oddech.

- Kasiu- powiedział chłopiec- Musisz mi wybaczyć.

Dziewczynka zaprzeczyła głową.

- Nie, nie mogę!

- Słyszałeś, co powiedział katecheta: nie wolno stawiać barykad. Jutro jest Boże Narodzenie i cała miłość Jezusa spłynie do serca tych ludzi, którzy nie ustawiają barykad. Że i ty ustawisz barykadę, Jezus będzie niešťczęśliwy, ty także. Pójdźmy razem na pasterkę?

Dziewczynka podniosła głowę i uśmiechnęła się:

- Dobrze, już nie ma barykad!

- Czy chcesz połowę buki? zaproponował chłopiec.

- Tak!

W tym momencie gwiazda dała znak. Mały Król zbliżył się do dzieci.

- Dziękuję wam, sprawiliście, że również i w tym roku jest Boże Narodzenie- powiedział uśmiechając się.

Dzieci patrzyły na niego z adekwatnym. Mały Król dał im pazuśkę z cennym darem. Dziewczynka ją otworzyła.

- A! wspaniały!- powiedział z zachwytu ona, gdy zobaczyła rubin w aureoli światła.

- Na! żydowaś!- zapewnił Król: Może ci z nim zrobić, co wam się podoba!

Przez okno, po raz pierwszy od 2000 lat, Gwiazda zamrugała filiternie.

Nasze życie to droga, która prowadzi do Boga. Na tej drodze mamy wieść Gwiazd, które nam rozświetlają drogę i prowadzą w kierunku właściwym. Ten kto pihię patrzy na niebo, ten nie zgubi Gwiazdy z oczu. Jak znaleźć Gwiazdę? To proste. Wystarczy popatrzeć na tych, którzy uczą nas kochać i sam i kochają. To nasi rodzice, duszpasterze, ci, którzy walzyli o wolność, którzy podychają się nad biednymi i.

Każdy z nas może stać się Małym Królem, a w każdy dzień będzie Boże Narodzenie, gdzieś w szkole, w domu, na katedrze schodowej i misję jego budować na podwórku ubogiej, wiejskiej chłopi, tam gdzie przemienia się serce i miłość niszy barykady egoizmu- tam rodzi się Bóg. A takich miejsc nie brakuje. Obyśmy widzieli Gwiazdy prowadzące do Betlejem i sami byli takimi Gwiazdami dla innych. Tego oraz obfitości Bożych łask życzy Redakcja Com m uni tas.

Jubileusz Ojca - 20 lat posługi biskupiej J. E. ks. abp. Józefa Michalika



ks. Mariusz Majewski

Przemyskie Seminarium Duchowne to wspólnota obejmująca kapłanów: przełożonych i profesorów, kleryków przygotowujących się do kapłaństwa, siostry zakonne ze zgromadzenia sióstr Franciszkanek rodziny Maryi, które w naszym seminarium podejmują różnorakie posługi oraz pracownicy świeccy.

Rzeczywistość seminarium jako wspólnoty można odnieść do rzeczywistości rodziny. W tradycyjnym modelu rodziny szczególną rolę pełni ojciec, który jest głową rodziny, troszczy się o nią, dba, aby niczego jej nie brakowało. W rodzinie czas jakiegos święta, jubileuszu to radosny czas przebywania ze sobą, rozmów, wspominania przeszłości.

Urząd i godność biskupa zawiera w sobie płaszczyznę ojcostwa. Jest to ojcostwo w stosunku do powierzzonego biskupowi ludu.



Dla diecezji przemyskiej i seminarium duchownego, które nazywane jest „sercem diecezji” od 1993 roku ojcem jest ks. abp Józef Michalik.

Dla nas członków rodziny seminaryjnej jubileusz 20-lecia sakry biskupiej naszego Ojca był czasem sięgnięcia do przeszłości i wydobywania z niej tych wydarzeń, które łączą Jubilata z seminarium, a za które my powinniśmy dziękować.

Coroczne święcenia kapłańskie

W rodzinie ojciec swym błogosławieństwem i rodzicielską miłością towarzyszy dzieciom we wkraczaniu na nową drogę życia. Na płaszczyźnie rodziny seminaryjnej ks. abp Józef Swoją posługą biskupią, co roku daje Kościołowi Chrystusa nowych kapłanów, Swym błogosławieństwem towarzyszy im w rozpoczynającej się dla nich nowej drodze życia. A po-

tem swoją biskupią – ojcowską troskę rozciąga na ich kapłańskie posługiwanie.



Święci wychowankowie przemyskiego seminarium

W rodzinie ojciec sam będąc dla dzieci autorytetem, wskazuje także na inne autorytety, które dla jego pociech mogą być źródłem wzrostu. Ks. Arcybiskup powierzonymu sobie ludowi wskazuje na

takie autorytety w osobach tych, którzy w czasie Jego pracy w diecezji przemyskiej zostali wyniesieni do chwały ołtarzy.

Wśród tego „pochodu świętych” kroczą też czterej kapłani, wychowankowie naszego seminarium.

18 maja 2003 roku w Rzymie Jan Paweł II kanonizował św. Józefa Sebastiana Pelczara, biskupa przemyskiego, ale najpierw alumną i prefekta naszego seminarium. Po tej kanonizacji ks. AArcybiskup skierował do swych diecezjan list pasterski „I dziś świętość jest możliwa”. Dla alumnów formujących się w seminarium było to zapewne umocnienie w powołaniu, zachęta do jeszcze większej gorliwości, wszak jak mówi autor listu do Hebrajczyków: „Jezus Chrystus wczoraj i dziś, ten sam i na wieki”.

18 sierpnia papież Jan Paweł II beatyfikował cieszącego się wielką czcią w całym Przemysłu ks. Jana Balickiego. Dla seminarium była to wielka uroczystość, ponieważ ks. Balicki był jego rektorem. Postać tego kapłana jest dla nas szczególnym wzorem na drodze seminaryjnej, przykładem pokory i miłosierdzia wyrażonego konkretnym czynem. Osoba bł. ks. Jana wzywa nas do świętości w sposób wyjątkowy, ponieważ mamy świadomość, że chodził on po tych samych korytarzach, co my i modlił się w tej samej kaplicy, co my.

Kolejny duchowny cieszący się godnością błogosławionego, który formował się w naszym seminarium to pochodzący z Pruchnika ks. Bronisław Markiewicz. Przypominając Jego beatyfikację warto przypomnieć Jego „receptę” na

osiągnięcie świętości: Mówił On, że „aby zostać świętym wystarczy tego chcieć”. Metropolita przemyski w homilii zaś mówił: „gdy brakuje świętych w narodzie, robi się ciemno w głowach ludzkich i ludzie nie widzą dróg, którymi mają postępować”.

W roku 2005, 29 czerwca w Warszawie prymas Polski, kard. Józef Glemp ogłosił beatyfikację trzech kapłanów, a wśród nich ks. Władysława Findysza pochodzącego z Nowego Żmigrodu, który przygotowanie do kapłaństwa odbywał w Wyższym Seminarium Duchownym w Przemyśle. Jest On męczennikiem systemu komunistycznego w Polsce.

Ci kapłani, wychowankowie naszego seminarium są dziedzictwem pozostawionym nam przez historię, które wzywa nas, aby nasze przyszłe kapłaństwo było oddane bez reszty Chrystusowi.

Goście ks. Arcybiskupa, gośćmi seminarium

W rodzinie poprzez kontakty i znajomości ojca bogata jest cała rodzina, gdy ojciec zaprasza swych znajomych do domu dzieci z uwagą przyglądają się gościom i przysłuchują się, o czym rozmawiają.

Podobnie w rodzinie seminaryjnej. Ks. abp Józef Michalik poprzez długoletnią pracę na rzecz Kościoła, m.in. w Papieskiej Radzie ds. Świeckich, Kongregacji ds. Biskupów czy też sprawowaniu różnorodnych funkcji przy Episkopacie Polski nawiązał bardzo wiele znajomości. Przy różnych okazjach goście odwiedzali Przemyśl oraz ks. Arcybiskupa, który nie zatrzymywał gości tylko dla siebie, ale często prowadził ich do seminarium na spotkanie z alumnami. Takie wizyty mają dla nas duże znaczenie, bo ważna jest wiedza na różne tematy czerpana z książek, ale nawet najlepsza książka nie zastąpi człowieka, bo człowiek rozwija się i staje się sobą przez kontakt z drugim człowiekiem.

Trudną byłoby rzeczą, aby wymienić tych wszystkich ludzi, którzy dzięki uprzejmości ks. Arcybiskupa odwiedzili nasze seminarium. Oto niektórzy goście, których wizyty znalazły swe upamiętnienie w kronikach seminaryjnych.

W 1999 roku przemyskie seminarium odwiedził ks. bp Jakubowski z Chicago, który opowiadał o tamtejszym Kościele oraz o tamtejszej Polonii. W roku 2001 kard. Miroslav Vlk z Pragi dzielił się z klerykami refleksjami na temat położenia Kościoła w Czechach. W roku 1996 i 2002 wspólnota seminaryjna miała przyjemność gościć ks. abp Paula Josefa Cordesa przewodniczącego Papieskiej Rady Cor Unum. Rok 2005 przyniósł alumnom lekcję ekumenizmu, ponieważ w naszym seminarium spotkali się przedstawiciele Kościoła katolickiego

w Polsce (m. in. ks. abp Józef Michalik i ks. abp Leszek Sławoj-Głódź) z przedstawicielami Kościoła greckokatolickiego na Ukrainie, na czele z ks. kard. Lubomyrem Huzarem. W roku 1996 gościł w naszym domu ks. abp Józef Kowalczyk, nuncjusz apostolski w Polsce. W roku 1999 klerycy mogli bezpośrednio zapoznać się z sytuacją Kościoła w Ameryce Południowej poprzez wizytę przewodniczącego Konferencji Episkopatu Ekwadoru ks. abp Jose Mario Ruiz Navasa i sekretarza konferencji Episkopatu ks. Jose Vincente Eguigierena, którym towarzyszył pochodzący z naszej diecezji ks. Zdzisław Rakoczy.

Oprócz przedstawicieli hierarchii kościelnej gościliśmy w murach przemyskiego seminarium także przedstawicieli władzy państwowej. Na początku 2006 roku alumni spotkali się z ówczesnym premierem rządu RP Kazimierzem Marcinkiewiczem, który mówił nam o założeniach i planach kierowanego przez siebie rządu oraz odpowiadał na pytania dotyczące politycznej panoramy naszego kraju.

Wnętrze kaplicy seminaryjnej owocem „rzymskiego etapu” w życiu metropolity przemyskiego

W rodzinie ojciec jako jej głowa ma wpływ na wygląd domu rodzinnego.

W seminarium miejscem częstego przebywania alumnów jest i powinna być kaplica. I tutaj ciekawostka mało znana w kręgu seminaryjnym a pewnie w ogóle nieznana poza nim, a która to ciekawostkę zdradził nam ks. kanclerz Bartosz Rajnowski. Obecny wygląd kaplicy seminaryjnej, tzw. kaplicy „górnej” jest bardzo podobny do wnętrza kaplicy znajdującej się w Kolegium Polskim w Rzymie. Ks. arcybiskup będąc rektorem Kolegium Polskiego remontował tamtą kaplicę. Gdy został metropolitą przemyskim, wykorzystał ten pomysł budowlany w naszym seminarium.

To tylko wybrane płaszczyzny, na których osoba Jubilata łączy się ściśle z przemyskim Wyższym Seminarium Duchownym.

Wyrażając nasze życzenia Dostojnemu Jubilatowi pozostajemy na kanwie rodziny, i życzymy, aby w swej ojcowskiej posłudze dla diecezji przemyskiej miał jak najwięcej radości z nas alumnów przygotowujących się do kapłaństwa oraz z pracy kapłanów wychodzących z naszego seminarium, tak jak dla ojca największą radością jest prawe i szlachetne życie jego pociech.





kl. Krzysztof Mendzios

„Soli Deo” czyli rzecz o Prymasie Tysiąclecia

*„Fru mentum Christi sum: dentibus bestiarum
mola ut panis mundus inveniar...”*

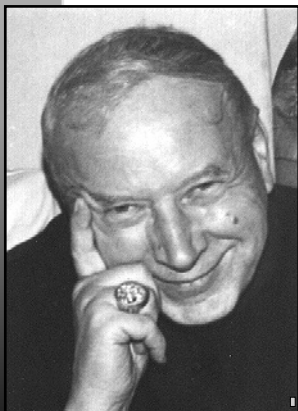
(„Jestem pszenicą Chrystusa, a zmielony zębami bestii, okażę się czystym chlebem”)

Słowa te wkładane w usta świętego starożytnego męczennika Ignacego z Antiochii spełniły się w życiu Prymasa Tysiąclecia, rzecz by można, najpełniej. Zdawać by się mogło, że w tamtych uwarunkowaniach polityczno-historycznych, jakie stanęły przed kardynałem Wyszyńskim zadanie, które ma człowiek, a jakim jest wypełnianie woli Boga, aż do wyrzeczenia się własnej woli, było szczególnie trudne w realizacji i spełnieniu tak, aby we wszystkim Bóg był uwielbiony. To uwielbienie zanosí przede wszystkim Bogu Jedynemu przez ofiarę z tego najcenniejszego daru, jaki posiada każdy z nas, a jakim jest ofiara własnego życia. Choć Prymas Tysiąclecia nie jest oficjalnie nazywany męczennikiem to wyczuwamy jednak, że ten tytuł byłby dla niego w pełni zasłużony. Stefan Kardynał Wyszyński całe swoje długie, bo osiemdziesięcioletnie życie zaprzagnął oddać właśnie Bogu, aby najdoskonalej wypełnić słowa swojego Mistra.

Dla kardynała Wyszyńskiego to oddanie życia rozpoczął moment święceń prezbiteratu, które zostały udzielone mu 3 sierpnia 1924 r. przez bpa W. Owczarka. Jako kapłan gorliwie wypełniał obowiązki swojego stanu, m.in. prowadził chrześcijański uniwersytet robotniczy i działalność społeczno-oświatową w chrześcijańskich związkach zawodowych, co dało mu solidne podstawy do rozumienia ludzi pracy, którzy w czasach PRL często musieli stawiać przeciwko władzy w obronie wartości i godności osoby ludzkiej, a także tych idei jakie niesie ze sobą chrześcijaństwo, które od samego początku Polski stało się jej silnym fundamentem. Walka o ten solidny fundament była dla pry-

masa priorytetem w czasach szalonego rozwoju filozofii marksistowsko-leninowskiej i ciągłej walki klasowej, jaką ten system zbudowany na materializmie zakładał. We wcześniejszych latach pięćdziesiątych, w okresie napięć między państwem, a Kościołem polityka władz zależnych od Związku Radzieckiego, zmierzała do złamania opozycji i wszelkich niezależnych instytucji, z których jedyną pozostał Kościół katolicki na czele z prymasem. Sprawą zajęło się Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego aresztując go 25 września 1953. Trzeba pamiętać, że było to już po śmierci Stalina i po wygłoszeniu przez Chruszczowa sławnego referatu „O kulcie jednostki”, który stanowił o pewnej liberalizacji systemu komunistycznego. Pomimo tych ogólnościowych wydrzeń władze polskie zdecydowanie pozostawały przy poprzednim kursie politycznym naszkicowanym przez ówczesnego I sekretarza PZPR B. Bieruta. Kardynał Wyszyński w swoich „Zapiskach Więziennych” pod datą 26.IX.1953, a więc dzień po aresztowaniu pisze: „Oddaję się w opiekę Temu, za sprawą którego się tu znalazłem...” To oddanie się Jezusowi już u samego początku drogi cierpienia stało się dla niego ważnym momentem jednoczenia swojego krzyża z krzyżem Jezusa Chrystusa. Ogromniej rangi są tu słowa: „za sprawę którego tu się znalazłem...” stają się tu jakby wyjaśnieniem, że to cierpienie jest rzeczywiście cierpieniem i udręką znośną dla Kościoła; są też jakby wyzwaniem dla nas i wołaniem o to, abyśmy sami żyjąc w podobnych czasach jak kardynał Wyszyński potrafili ufać Bogu w tym całkowitym ogółaniu się z własnej woli i dążeniu ku woli Boga. Całe swoje kapłańskie życie oddał doskonałemu wypełnieniu właśnie tej woli a najpełniej dał temu wyraz w tym uwięzieniu i odosobnieniu, jakiego doznawał w latach 1953-1956. Ta swoista pustynia wygnania była także owocna dla niego samego a także dla całego ukochanego przez niego narodu dała bowiem temu narodowi tekst jasnogórskich ślubów narodu. Śluby te stały się potem rzeczywistym fundamentem odnowy moralnej i religijnej całego społeczeństwa. Tekst tychże obietnic jest odzwierciedleniem całej duchowej wędrówki kardynała Wyszyńskiego i jego trudu i wysiłku poniesionego dla sprawy Chrystusa. Śluby powstawały, kiedy Polska znajdowała się w zagrożeniu wojującego ateizmu. Cała władza skierowała swoje ostrze przeciwko Kościołowi i jego roli przekaznika tradycji narodowej i taką w świadomości Polaków Kościół posiadał niewątpliwie. Ten ważny dla Polski moment dziejowy, to oddanie jej w macierzyńską niewolę Matki Bożej stało się wypowiedzeniem tego, czego pragnął sam kardynał a z nim także i cały naród Polski.

Nie da się nie widzieć, że niewola macierzyńska jest odzwierciedlaniem niewoli samego prymasa, który także niejako z miłości do Kościoła i Ojczyzny poddaje się władzy. Ta



masa priorytetem w czasach szalonego rozwoju filozofii marksistowsko-leninowskiej i ciągłej walki klasowej, jaką ten system zbudowany na materializmie zakładał. We wcześniejszych latach pięćdziesiątych, w okresie napięć między państwem, a Kościołem polityka władz zależnych od Związku Radzieckiego, zmierzała do złamania opozycji i wszel-

niewola jest też jakby niewolą miłości do swojej owczarni. Prymasowska niewola była bardzo uciążliwą ze względu na regularne mniej więcej, coroczne zmiany miejsca pobytu z nakazu władz. Ostatnim miejscem internowania była Komańcza w diecezji przemyskiej, gdzie w domu sióstr nazaretanek powstał tekst Jasnogórskich Ślubów Narodu. Do ich powstania przyczyniła się Maria Okońska, dając za przykład św. Pawła, piszącego listy do wiernych z więzienia. Śluby Narodu zostały uroczystie ogłoszone 26 sierpnia 1956 roku na Jasnej Górze przy udziale około miliona wiernych. Przez to odnowienie ślubów Jana Kazimierza prymas dał wyraz swojej głębokiej czci ku Matce Bożej a szczególnie ku jej jasnogórskiemu wizerunkowi.

Uwolnienie kardynała Wyszyńskiego

nastąpiło 26 października 1956 r. Na stanowisko I sekretarza został desygnowany W. Gomułka, który stworzył możliwość uwolnienia prymasa i powrotu do wszystkich stanowisk kościelnych. Można powiedzieć, że prymas stał się dzięki uwięzieniu jakby uosobieniem cierpienia i odarcia z wartości, jaki ponosił cały naród polski z rąk komunistów. Ta walka aż do końca jest przykładem wielkiego heroizmu i wielkiej odwagi jednego człowieka gotowego dla sprawy Kościoła i Ojczyzny oddać to, co najcenniejsze. Pozostaje postawić sobie samemu pytanie, co sam dzisiaj czerpię z osoby Prymasa Tysiąclecia? Czy ta milcząca niewola jest dla mnie wyrazem Opatrzności Boga czy też zwykłym zbiegiem faktów historycznych? Dlatego trzeba nam coraz bardziej wsłuchiwać się w nauczanie Sługi Bożego i wpatrywać w jego niezłomną postawę.



s. Elżbieta Ślęp

Byłam tam, gdy odchodził

S. Danuta Fudali (rodem z Huciska Nienadowskiego k. Dubiecka) przebywająca gościnnie u naszych Sióstr w Seminarium, może podzielić się z czytelnikami Communitas swymi refleksjami z dni poprzedzających śmierć Jana Pawła II i z dni po niej następujących. Siostra Danuta została wysłana do Rzymu w Wielką Sobotę, przez władze zakonne w sprawach urzędowych.

S. Elżbieta: Siostra wcześniej była w Rzymie na placówce. Co Siostra tam robiła i jak długo tam przebywała?

S. Danuta: Do Rzymu wyjechałam w 1988 roku, były to jeszcze tzw. "trudne czasy". Dołączyłam do polskiej wspólnoty Sióstr, dlatego nie odczułam dużej różnicy, bo mówiłyśmy po polsku. Siostry w Rzymie pracowały w międzynarodowym Kolegium Św. Antoniego przy via Merulana, prowadziły kuchnię dla ojców franciszkanów i stołówkę dla biednych na 400 osób, zostałam włączona w te prace. Pełniłam również przez dziewięć lat obowiązek przełożonej domowej; a w ostatnich latach uczęszczałam na "Antonianum" w Rzymie, na kierunek prawa kanonicznego. W 2003 roku obroniłam pracę doktorską. W sumie przebywałam w Rzymie 16 lat. Był to wyjątkowy okres mojego życia, bo przez te długie lata mogłam i miałam szczęście być obok umiłowanego Ojca Świętego Jana

Pawła II, podsłuchiwać i przyglądać się "z blisko", temu wszystkiemu, co mówił i co robił.

S. Elżbieta: Czy spodziewała się Siostra jadąc do Rzymu takich nadzwyczajnych wydarzeń?

S. Danuta: Oczywiście, że nie. Byłam szczęśliwa, że mogę zobaczyć znowu Ojca Świętego. Była to Niedziela Zmartwychwstania, już wtedy na placu wszyscy płakali jak się pokazał w oknie. Uważam, że dla mnie osobiście była to wielka łaska z nieba, bo wyjeżdżając w grudniu ubiegłego roku miałam takie ukryte pragnienie, żeby być "w tym momencie" w Rzymie, nie wyobrażałam sobie inaczej, nie mogło mnie tam



brakować, tak myślałam i tak się stało. Dotknęłam z bliska niesamowitych wydarzeń.

S. Elżbieta: Jak wyglądał plac Św. Piotra w dniach poprzedzających śmierć Papieża?

S. Danuta: Zamienił się w wielki ołtarz modlitwy. Już w nocy ze środy na czwartek rozpoczęło się czuwanie, ludzie biegli ze wszystkich stron. Byli to przede wszystkim mieszkańcy Rzymu, którzy w tych dniach pokazali swoje przywiązanie i to jak bardzo kochali Ojca Świętego. Szczególny napływ ludzi odczuwało się po południu i wieczorem. Kiedy kończyli pracę, przychodzili na plac wszyscy, każdy szepcząc modlitwy miał utkwiony wzrok w oknach apartamentu Papieża. Płakali i modlili się, odczuwało się zatrwożenie smutek a nawet lęk. Dopiero później przybywali ludzie z innych miast Italii i z innych państw. Dobiegła też młodzież, różnego pokroju, byli studenci, byli harcerze, byli i tacy poobwieszani, poszarpani i podziurawieni, z włosami stojącymi i bez włosów, każdy z nich miał jednak różaniec w ręku



i trwogę w oczach, wszyscy odczuwali, że zbliżał się moment rozstania. Oni modlili się, wołali, "resta con noi" (pozostań z nami), wydawało się, że nie pozwolą Mu odejść. Każdego dnia o godz. 21.00 był wspólny różaniec, plac wypełniał się po brzegi, po zakończeniu wiele osób trwało na modlitwie do późnej nocy a nawet do rana. Byli i tacy, którzy odchodzili tylko załatwić najważniejsze rzeczy i znowu wracali.

S. Elżbieta: Jakie szczególne momenty z tych dni utkwiły Siostrze w pamięci?

S. Danuta: Bardzo widoczne było przywiązanie ludzi do tego Wielkiego Papieża, trwanie na modlitwie i jej intensywność, powiedziałabym dla mnie zaskakująca, ponieważ już nie raz brałam udział w różnych spotkaniach modlitewnych, tam na placu, ale takiej atmosfery, takiego wspólnego wołania do Boga nigdy nie odczułam, tyle różańców w rękach ludzi nigdy w życiu nie widziałam, tam naprawdę wszyscy się modlili, tam wszyscy stanowili jedno, tam wszyscy się kochali, tam wszyscy cierpieli, tam wszyscy płakali.

Takim wzruszającym momentem było przybycie na plac młodzieży, ona zmieniła całą atmosferę.

Młodzi ludzie tworzyli kiluosobowe grupki, na kolanach, na siedząco, czy na stojąco, zapalali świece i wokół niej się modlili. To z prawa, to z lewa dolatywały "Zdrowaś Maryjo" po angielsku, hiszpańsku, portugalsku, francusku, włosku, polsku itp., od czasu do czasu krzyczeli zjednoczeni "Giovanni Paolo" i dalej się modlili. Widać też było pojedyncze osoby skupione na modlitwie, gdzieś pod kolumną, pod lampą z zamkniętymi oczami.

Takie bardzo osobiste moje przeżycie, to uczestnictwo w koronacji Matki Bożej Częstochowskiej w krypcie Bazyliki Św. Piotra, w sobotę rano przed śmiercią Ojca Świętego. Nie było dużo osób, wszyscy płakali, wszyscy wiedzieli, że koniec już jest bliski, a świadomość, że są to ostatnie korony pobłogosławione przez Ojca Świętego była czymś bardzo wzruszającym i bolesnym. Niedługo po tym, w niedalekiej odległości od kaplicy Matki Bożej Ukoronowanej Królowej Polski spoczęły Jego doczesne szczątki.

S. Elżbieta: Czy sama chwila odejścia Jana Pawła II do Domu Ojca zastała Siostrę na placu?

S. Danuta: Miałam ten luksus zapewniony, ponieważ praca, którą miałam się zająć mogła poczekać, a zresztą nie byłam w stanie czegokolwiek się dotknąć, biegałam tam z innymi ludźmi i tak jak inni nie mogłam pozostać sama, szukałam towarzystwa do modlitwy. Dodatkowym udogodnieniem był fakt, że mieszkalam 10 minut drogi od placu Św. Piotra, zatem byłam blisko. Od pierwszego momentu tam byłam, spędziłam tam każdą noc na czuwaniu, razem z innymi siostrami mojej wspólnoty. I tego pamiętnego wieczoru też tam byłam. Nigdy w życiu tego nie zapomnę, tych chwil oczekiwania na cud, tych szepców ludzkich, tych westchnień, tych prywatnych wyznań, tych łez pełnych bólu i niepokoju i tego każdego mrugnięcia światła w oknach apartamentu Papieża, do całkowitego wygaśnięcia. Ojciec Święty odchodził do Domu Ojca, otoczony ludźmi, którzy go szczerze kochali, dali temu świadectwo tam na placu Św. Piotra swoją obecnością.

S. Elżbieta: Jaka była reakcja ludzi?

S. Danuta: Po zakończeniu, wspomnianej wyżej, modlitwy różańcowej, prowadzący ją, prosił wszystkich, by się wyciszyli i by czuwali już w milczeniu, bo młodzież dalej rozpoczęła swoje nawoływanie, wtedy nastąpiło milczenie, był to moment, kiedy w apartamencie zgasiły światła, cichy szepc przeleciał przez licznie zgromadzony tłum i wtedy nastąpiło ogłoszenie

tej smutnej wiadomości. Kiedy kantor rozpoczął śpiewać "Salve Regina", wszyscy ludzie padli na kolana, nie pamiętam, ale chyba oprócz niego nikt nie śpiewał, z serc ludzkich uleciał w górę płacz, jęk i szloch, nikt nikogo się nie krepował, wszyscy płakali w głos. Obok mnie klęczała pewna rodzina włoska z trójką dzieci, tak głośno zawodzili, a szczególnie ojciec tej rodziny, że nawet ten, który pozwolił sobie na ciche popłakiwanie nie wytrzymał. Jeden wielki ból opanował wszystkich, po stracie tak wspaniałego człowieka. Płakali jeszcze bardzo długo, starsi i młodszy razem, Polak obok Włocha, Hiszpan obok Portugalczyka, czarny obok białego itp., wszyscy. Myślę, że chyba w historii ludzkości nikt nie był tak opłakiwany i chyba nigdy tyle ludzi nie płakało razem z jednym człowiekiem a już na pewno na Papieżem Polakiem. Płakałam i ja razem z nimi głośno i długo i za każdym razem, kiedy mój wzrok poleciał do góry do Jego okien, płakałam przy Jego zwłokach, podczas pogrzebu, przy jego grobie i jeszcze dzisiaj płaczę jak wspomnę ten wieczór i jak wspomnę te przeżycia i jak wspomnę tych ludzi zatrwożonych biegnących do Niego, i jak pomyślę ile niewykorzystanych chwil przeminęło już bezpowrotnie.

S. Elżbieta: Jak spędziła siostra dni poprzedzające pogrzeb? Czy udało się pomodlić przy zwłokach Jana Pawła II?

S. Danuta: Były to chwile smutne i bolesne, dopóki mogłam dalej chodziłam na plac modlić się z ludźmi, którzy ciągle się tam gromadzili.



Miałam taką możliwość już następnego dnia, kiedy przenieśli ciało Ojca Świętego do sali Klementyńskiej, podejść na jeden tylko moment, na przyklęknięcie, o dłuższej modlitwie nie było mowy, natomiast był na nią czas w kolejce, w której stałam sześć godzin, razem z pracownikami Watykanu i ich rodzinami. Później, kiedy ciało zostało przeniesione do Bazyliki, byłam każdego dnia, bardzo blisko, ale to już wejściem bocznym i bez kolejki dzięki życzliwym i znajomym ludziom. Wtedy była możliwość na dłuższą modlitwę. Każdego dnia prowadziłam tam tych wszystkich, którzy osobiście być nie mogli, była tam ze mną moja rodzina, moja parafia, były też siostry i ci, którzy z różnych przyczyn nie mogli

dojechać i pożegnać osobiście Ojca Świętego, naszego drogiego Rodaka. Bardzo trudno się było z Nim rozstać, za każdym razem myślałam, że to już ostatni raz, a następnego dnia znowu tam byłam, bo wydawało mi się, że jeszcze czegoś Mu nie powiedziałam. On tam był obecny, tam jest Jego duch.

Dodam tutaj jeszcze, że ogromnym też przeżyciem był sam pogrzeb i ten rozmodlony tłum, który czuwał całą noc na wszystkich bocznych uliczkach prowadzących do Watykanu (plac był zamknięty) i to wzruszające oczekiwanie i podniecenie czy się uda wejść na plac jak najbliżej, byłam tam też z nimi, tym razem z całą wspólnotą w komplecie, czuwaliśmy i modliliśmy się z innymi w bardzo chłodną noc, pookręceni w koce, w śpiwory, przytuleni jeden do drugiego. Emocje wzrosły, kiedy to przed uroczystą Mszą Św. pogrzebową, ukazały się transparenty, które jak grzyby po deszczu wyłaniały się niemalże z każdego miejsca na palcu, z napisem "Subito Santo", połączone z takim samym nawoływaniem i skandowaniem. W tłumie znowu słychać było głośne szlochanie i nie jeden wycierał łzy, tym razem myślę, że ze wzruszenia. Natomiast Polacy, którzy dotarli na plac zaopatrzeni w chórągwie Polski z czarną szarfą, znakiem żałoby, skandowali, należne "Dziękujemy".

S. Elżbieta: Wybór nowego Papieża był kolejnym przeżyciem. Czy także w tym momencie Siostra była przy Bazylice Św. Piotra?

S. Danuta: Na tzw. "dymek" chodziłam każdego dnia. Wtedy, kiedy pokazał się biały, byłam w drodze razem z s. Karoliną, ktoś biegnąc w odwrotną stronę krzyknął "sorelle bianco", serca zabiły nam mocno i przyspieszyliśmy kroku, biegli wszyscy, kiedy doszliśmy do placu było już dosyć dużo ludzi, ale w przeciągu 15-20 minut już się nie dało wejść na plac. Wszyscy oczekiwali w napięciu, leciały różne komentarze, to tu to tam rozpoczęły się głośne modlitwy, ktoś recytował "Ojciec nasz", ktoś "Zdrowaś Maryjo", inni rozpoczęli śpiewać religijne pieśni. Kiedy się ukazał Papież Benedykt XVI, wszyscy bardzo się cieszyli klaskali i skakali do góry i my razem z nimi, ponieważ z radością przyjęliśmy godnego następcę, ale w tłumie dało się zauważyć, że nie wszystkich ten wybór uradował, pojawiali się nawet łzy. Mam nadzieję, że do dzisiejszego dnia ci ludzie już zmienili zdanie.

S. Elżbieta: Co z przesłania naszego Wielkiego Papieża-Rodaka jest dla Siostry najważniejsze?

S. Danuta: To pytanie wymagałoby obszerniejszej wypowiedzi, ponieważ gama ważnych

rzeczy jest bardzo rozległa, zatrzymam się tylko na tym, co Ojciec Św. powiedział na początku swojego pontyfikatu i do czego ostatnio często powracano: "Otwórzcie drzwi Chrystusowi... nie lękajcie się". To zdanie było i jest hasłem przewodnim na całej drodze mojego powołania zakonnego, bo naprawdę musiałam w moim życiu otworzyć bardzo szeroko drzwi mojego serca, musiałam otworzyć je na Chrystusa, i wiele razy potrzebowałam odwagi by przetrwać niejedną trudność i ponieść nie jedną ofiarę, by te drzwi nigdy się nie zamknęły i pozostały przynajmniej uchylone. To hasło dodawało mi zawsze siłę.

Dla mnie wielkość tego człowieka, Papieża polegała na tym, że będąc wielkim stał się "małym", był dla wszystkich jednakowy, mając okazję, zwłaszcza na początku mojego pobytu w Rzymie często bywać na Mszy św. w prywatnej kaplicy a później spotykać się z Ojcem Św. w bibliotece, czułam za każdym razem, że jestem zawsze ważna, że Ojciec Św. okazywał mi szacunek i wszystkie emocje w jednym momencie przyskały, a ja miałam przed sobą "Troskliwego Ojca", który okazywał swoje zainteresowanie i dla którego byłam "kimś". Myślę, że taką postawę powinien mieć każdy człowiek, a na pewno powinien ją mieć każdy kapłan.

S. Elżbieta: Na koniec pytanie o związki z Diecezją Przemyską i Seminarium. Czym jest dla Siostry to miejsce?

S. Danuta: Jak ktoś zwrócił uwagę, na początku, jest zaznaczone skąd pochodzę, więc można się domysleć, że od urodzenia jestem związana z Diece-

zją Przemyską, w niej się dokonało wszystko, i chrzest i bierzmowanie w niej też moi śp. Rodzice przekazali mi prawdy wiary i tradycje i w niej wzrastało moje powołanie zakonne, dlatego serce zawsze ciągnie do swoich.

Przemysł to miasto mojej młodości, Seminarium przemyskie to fragment tej młodości, myślę też, że tutaj ktoś wymodlił moje powołanie. Z Seminarium przemyskiego wyjechałam też do pracy do Rzymu w 1988 roku, co prawda po



krótkim moim pobycie, bo tylko sześć miesięcy. Przyjechałam tutaj tylko po to, żeby pomóc w przygotowaniach do konsekracji ks. biskupa Edwarda Białogłowskiego, tylko na jeden tydzień, ale z tego tygodnia zrobiło się pół roku, widocznie moja pomoc się spodobała i przełożeni mnie tutaj zostawili.

Z Seminarium pamiętam tylko dużo pracy, dużo pracy i jeszcze raz dużo pracy. Tak się złożyło, że po latach, mam potrzebę korzystania z pomocy Siostr tu pracujących i obecny mój obowiązek kieruje mnie do Przemysła, więc mam okazję przyglądać się i porównać jak wygląda dzisiaj życie i praca Siostr w Seminarium. Bardzo się cieszę, że Siostry nie muszą dźwigać węgla, lepić pierogów o trzeciej nad ranem, że mogą spokojnie zatrzymać się i porozmawiać z księdzem czy klerykiem na alejce, że mogą zobaczyć i podziwiać kwiaty i ogród w biały dzień, że nie przesypiają pacierzy w refektarzu i że wspólnie się modlą. Dlatego tym wszystkim, którzy się do tych zmian przyczynili niech będzie chwała!

Rozmawiała S. Elżbieta Ślemp

Matka Boża na drodze życia Św. Biskupa Józefa Pelczara



kl. Marcin Piliszko

Biskup Bolesław Taborski tak powiedział o Józefie Sebastianie Pelczarze: „nie tylko sam serdecznie ukochał Maryję i Jej oddał się całej, lecz nadto czynił wszystko, aby także inni Ją poznali, ukochali, czcili i wiernie Jej służyli. Posługiwał się przy tym wszelkimi środkami, jakie miał do dyspozycji: prócz przykładu, jaki dawał własnym życiem, chętnie przemawiał o Maryi, o niej pisał, zachęcał innych by o Niej mówili i pisali. W szczególny sposób szerzył kult Matki Bożej Królowej Korony Polskiej.

Pamiętajmy, że było to przed I wojną światową, w okresie, gdy nasz naród był podzielony na trzech zaborców. Wtedy to rozwój kultu Matki Bożej Królowej Korony Polskiej miał ogromne znaczenie dla podniesienia ducha narodu”.

We wrześniu 1841 roku matka Józefa Pelczara odbyła pielgrzymkę do Leżajska. Tam przed obrazem Najświętszej Panny oddała w opiekę swojego syna. A potem Maria Pelczarowa wprowadzała Józia w pobożność maryjną, która polegała szczególnie na modlitwach,

pieśniach i pielgrzymkach. Tak wzrastał w maryjnej atmosferze domowego Kościoła. Po ukończeniu szkoły głównej w Rzeszowie odbył z rodzicami pierwszą pielgrzymkę do Leżajska. Był to wrzesień 1852 roku, stulecie koronacji obrazu Matki Bożej w tym sanktuarium. Pielgrzymka ta była zakończeniem jego dziecięcej formacji maryjnej i rozpoczęciem pobożności młodzieńczej. „W ogóle, w całym jego życiu, od młodości poczynawszy, widzimy jakiś pęd, jakąś nieprzewyciężoną siłę, która go pchała do ustawicznego nawiedzenia koronowanych i niekoronowanych stolic maryjnych, tak w kraju, jak i po za granicami”.

Sześć lat w gimnazjum rzeszowskim naznaczone było na wskroś pobożnością maryjną. Oprócz częstej modlitwy przed statua Maryi w kościele bernardynów, codziennie modlił się do Najświętszej Panny w wieczornym pacierru. Przychodził także na modlitwę przed obraz Matki Boskiej Uczniowskiej w kościele popijarskim. W latach gimnazjalnych Maryja była dla niego czułą Matką i równocześnie ideałem, wzorem i mistrzynią, co później stale będzie powtarzał w swoich kazaniach.

W roku 1858, od jesieni, Józef Sebastian Pelczar przeniósł się do Przemyśla. Jako adept do kapłaństwa kończył szkołę średnią. Jego dotychczasowa pobożność maryjna rozszerzyła się o nową relację: królowa – sługa. Jego przeżywanie Maryi jako Królowej Polski było związane z wypadkami w Królestwie Polskim i w Warszawie przed powstaniem styczniowym w 1863 roku i w czasie jego trwania. W tym okresie spiętrzyły się w nim dwa uczucia miłości: maryjne i patriotyczne. Wynikiem ich skojarzenia była żywiołowa cześć dla Maryi jako Królowej Polski.

Wymownym tego dowodem są lata 1861 – 1863, kiedy powstaje jego śpiewniczek. W pierwszej części (68 stron, zaś druga 78 stron) znajduje się 43 pieśni maryjne. Ich ogromna przewaga i pierwsze miejsce w śpiewniczku dowodzi, że pobożność maryjna nadawała ton jego ówczesnej duchowości. W tych pieśniach główny akcent spoczywa na Maryi jako Królowej. Te pieśni były dla młodego Pelczara modlitwą własną i wspólną oraz wyrazem głębokich jego przeżyć. Do szczególnej czci Królowej Korony Polskiej, już jako kleryk, agitał kolegów, a także władze wyższe Seminarium. Jako alumn, bo już na drugim roku teologii wypowiedział w Komborni, na odpuszcie Pocieszenia Najświętszej Panny Maryi pierwsze kazanie. Wskazał w nim na Maryję jako na Matkę Boga i każdego człowieka.

Świecenia kapłańskie uważał za dar ofiarowany mu prze ręce Maryi – Matki i Mistrzyni. Dlatego pierwsze wydanie swoich kazań maryjnych zadedykował Matce i Najspanialszej Królowej, dziękując Jej za łaskę

kapłaństwa i za wszystkie dary za Jej przyczyną otrzymane.

Do pracy duszpasterskiej w parafii Sambor zabrał się z gorliwością i zapałem. Sytuacja była zła ze względu na ogólne załamanie w narodzie po upadku powstania styczniowego. Miało to swoje odbicie w wierze i zaufaniu do Maryi Królowej Polski. W maju 1865 roku podjął się głoszenia nauk na temat Litanii Loretańskiej. Seria tych kazań rozpoczyna się nauką o imieniu Maryi, a kończy się nauką o Królowej Korony Polskiej. Pragnął przybliżyć parafianom Maryję i wzbudzić zaufanie do Niej jako Matki i Królowej. Praca na parafii nie zaspokoila jego aspiracji. Jego marzenie o studiach w Rzymie stało się rzeczywistością. W owym czasie, bo już po za granicami kraju, pobożność księdza Pelczara wzmogła się wzbogaciła o nową motywację. W Rzymie stale zwiedzał miejsca poświęcone czci Maryi. Atmosfera maryjna Rzymu pozwoliła mu na lepsze rozumienie miejsca i roli w życiu wewnętrznym. Na to wskazuje jego postanowienie rekolekcyjne. Postanowił, że w każdą sobotę będzie odwiedzał jakiś kościół, składał jałmużnę ku czci Najświętszej Panny, a wieczorem lub w niedzielę odmawiał koronkę do Maryi. Do tego w rok później dodał, iż codziennie będzie odmawiał jedną część różańca, odwiedzał Najświętszy Sakrament, wszystkie czynności ofiarował Jezusowi i Maryi prosząc ich o błogosławieństwo, a także zobowiązał się do gorliwej pracy w konfesjonale i na ambonie rozszerzając cześć i miłość do Najświętszy Sakramentu i Najświętszej Panny. Przed wyjazdem do kraju umocnił swoje postanowienie ślubowaniem w kaplicy del Crocifisso przed obrazem Najświętszej Panny Bolesnej. Postanowił co-

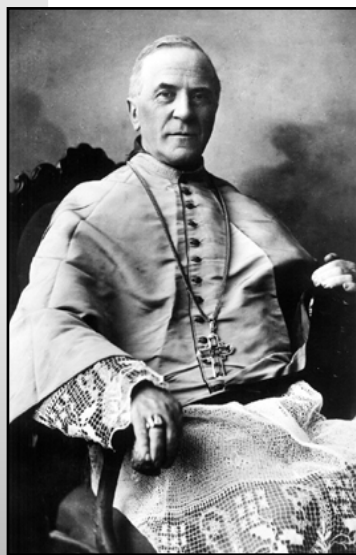


dziennie przynajmniej pół godziny rozmyślenia i odmawiać jedną część różańca.

Doktor Świętej Teologii o swojej pracy duszpasterskiej po powrocie do kraju tak pisze: „1 maja powitałem pla-

cząc z radości rodzinę a ogłosiwszy z ambony błogosławieństwo Ojca Świętego, dane całej parafii, rozpocząłem szereg nauk majowych o życiu pobożnym”. W czerwcu 1868 roku odprawił pielgrzymkę do Leżajska, by polecić się opiece Najświętszej Panny Maryi. Po drodze, w czasie kolejnej pielgrzymki do tego sanktuarium uczcił statua łaskami słynącą w Jarosławiu. Te oto „odwiedziny” Matki Bożej są

dowodem, że wielką rolę pełniła w jego życiu ta, którą czcił i kochał i ta, którą głosił innym. Doktor rzymski jako wikary znalazł się ponownie w Samborze. Tam w maju codziennie głosił nauki o ożyciu duchowym na tle życia Najświętszej Panny. Później napisał książkę: „Życie duchowe i kazania o Najświętszej Pannie Maryi”. Po stanowisku prefekta i profesora Seminarium w Przemyślu rozpoczął 22 lata intensywnej pracy jako profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Codziennie odprawiał Mszę Świętą przed obrazem Matki Bolesnej. 8 września w Starej Wsi miała miejsce wielka uroczystość – koronacja obrazu Maki Bożej – 2 września profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego wygłosił znakomite kazanie: „Kazanie o królowaniu i opiece Bogarodzicy nad narodem polskim, miane przy założeniu koron przed obrazem Najświętszej Panny w Starej Wsi, jako wstępnym akcie koronacji tegoż obrazu”. Nie poprzestał na osobistej czci dla Maryi Królowej Polski, ani na szerzeniu Jej czci z katedry profesorskiej, z ambony kaznodziejskiej czy słowem



drukowanym, lecz Maryję Królową Polski wziął za podstawę swej działalności społecznej.

Okazją ku temu była setna rocznica konstytucji 3 maja. Na zjeździe konserwatystów w Krakowie, założył na wzór Lwowa Bractwo Najświętszej Maryi Panny Królowej Korony Polskiej. Zadaniem tego Bractwa miało być realizowanie ślubów Jana Kazimierza i praca nad najbiedniejszą

częścią społeczeństwa.

Po otrzymaniu konsekracji, 19 marca 1899 roku, został biskupem pomocniczym, a 17 grudnia 1900 roku, ordynariuszem diecezji przemyskiej obrządku łacińskiego. Już w pierwszym liście do wiernych oddał diecezję w opiekę Maryi Królowej. Maryja w oczach biskupa Pelczara to Królowa w wielu stolicach, dlatego pragnął, aby tych stolic i tronów było jak najwięcej. Brał udział w licznych koronacjach, a zarazem głosił kazania o Maryi Królowej Polski. Nie zaniedbywał także nabożeństw pielgrzymkowych.

Kult Najświętszej Maryi Panny przez całe życie był najbardziej uczuciowym przejawem pobożności biskupa Józefa Sebastiana. Nie mogło zabraknąć zarządzeń, listów,

książek, mów czy kazań, przez które Święty Biskup, ordynariusz diecezji rozszerzał, polecał, zachęcał i ożywiał cześć do Maryi.

Rządca diecezji na początku swej działalności powiadomił wiernych i duchowieństwo w 1901 roku, że: „odprawiając pielgrzymkę do Paray – le Monial i do Lourdes, poleciłem i poświęciłem siebie i całą diecezję Najśłodszemu Sercu Jezusowemu i Najświętszej Pannie”.

W sierpniu 1904 roku Józef Sebastian wydał szczegółową instrukcję, jak obchodzić Jubileusz ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Maryi. Nakazał kapłanom zastosować wskazania Encykliki Piusa X. W czasie obchodów jubileuszu możliwe było zyskiwanie odpustów. Należało urządzać pielgrzymki, nabożeństwa z kazaniami, w czasie nowenn przed świętem należy odprawiać Mszę Świętą z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, litanie i modlitwę do Dziewicy. W samo święto nakazał: wystawić Przenajświętszy Sakrament od Rorat do Nieszporów, po kazaniu na Sumie, względnie na Nieszporach, odczytać Akt Ofiarowania się Najświętszej Pannie, a następnie odprawić procesję i odśpiewać „Te Deum”.

W 1905 roku wydał zarządzenie w związku 250-tą rocznicą obrony Częstochowy przed Szwedami. Nakazał w Boże Narodzenie przypomnieć o tej rocznicy. W rok później w 250-tą rocznicę Ślubów Jana Kazimierza polecił, aby odprawiono w pierwszą niedzielę maja nabożeństwo z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, kazaniem o opiece Najświętszej Panny nad narodem polskim, a po Nieszporach - wiec z wykładami o obronie Częstochowy.

W marcu 1907 roku Biskup nakazał obchodzić uroczystości Święto Najświętszej Panny Królowej Korony Polskiej. Wiązało się to z uroczystą Sumą, wystawieniem Najświętszego Sakramentu, procesją i kazaniem ku czci Maryi. Po południu zalecił urządzić akademie ku czci Królowej Polski.

Zarządzenie na temat obchodu w parafiach dnia koronacji obrazu Matki Bożej Częstochowskiej Święty Biskup wydał w 1910 roku. Nakazał, aby 21 maja tegoż roku wieczorem przez 15 minut dzwoniło we wszystkich kościołach. W samą uroczystość koronacji, w dzień Trójcy Przenajświętszej, 22 maja 1910 roku, nakazał jeszcze raz dzwonić, odprawić Sumę z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, odmówić Litanie Loretańską i odśpiewać „Pod Twoją Obronę”. Ponadto zachęcił, aby figury i kapliczki Maryi ozdabiać kwiatami.

W 1916 roku Józef Sebastian pozwolił, aby na czas wojny dodawano do Litanii Loretańskiej inwokację „Królowo Pokoju, módl się za nami”.

Ponadto założył w 1906 roku Związek Katolicko-Społeczny, któremu polecił między in-

nymi: krzewić nabożeństwo do Najświętszej Panny Maryi jako Królowej Korony Polskiej. Brał także udział w kongresie Mariańskim we Lwowie w 1904 roku, zaś 7 lat później sam urządził II Kongres Mariański Polski w Przemyślu. Za swoich rządów dokonał licznych koronacji obrazów i figur Maryi w wielu miejscowościach, jak na przykład: Stara Wieś, Tuligłowy, Borek Stary pod Tyczynem.

Osobista pobożność z lat mło-



dzieńczych i seminaryjnych zaważyła na licznych zarządzeniach, kazaniach i modrach, a przede wszystkim na kulcie Maryi jako Królowej Korony Polskiej. Ze szczególną troską i czcią wprowadzał nabożeństwo do Matki Najświętszej w swojej diecezji.



kl. Michał Kozak

Nadzieja w drodze

Rozpoczyna się piękny, słoneczny dzień. Słońce pojawia się nad starymi kamieniczkami przemyskiego rynku. Powietrze w lipcu zawsze jest już ciepłe i dające nadzieje na piękny dzień. Wokół katedry zaczynają gromadzić się ludzie z przyspieszonym krokiem. Jednak nie są to ci, którzy codziennie przemierzają ten odcinek drogi wydeptany świętymi stopami, kierując się w stronę miejsca pracy. Rozpoczynają się pierwsze spotkania ludzi, którzy widzieli się może aż rok temu na Jasnogórskiej ziemi, by odpocząć po czternastodniowej wędrówce. Zaczynają zjeżdżać samochody, z których wychodzą młodzi, starzy, całe rodziny, bo być może dziś jedno z nich wyruszy na pątniczy szlak, więc zjechali się wszyscy domownicy by ze łzami pożegnać ukochaną osobę. Plac przed katedrą zaczyna się powoli zapełniać, słychać coraz odważniejsze głosy. Są i tacy, którzy bardzo nieśmiało pojawiają się na placu, bo nie wiedzą co robić, nikogo nie znają. Oni prawdopodobnie idą pierwszy raz i nie mają doświadczenia, może na kogoś jeszcze czekają. Niektórzy biegają ponieważ trzeba załatwić ostatnie sprawy z nagłośnieniem, znaczkami poszczególnych grup, a do tego za chwilę zacznie się Msza Święta. Bli-

sko wejścia do Katedry pojawiają się chłopcy w sutannach, to zapewne klerycy, bo zdradza ich młodzieńczy uśmiech i wygląd. A ludzi coraz więcej i więcej. Kolejne przywitania, uściski, miłe słowa, witają

się całe rodziny. Rozpoznać tu pielgrzymów wcale nie jest trudno. To proste. Zazwyczaj sportowy but może sandał, spódnica, luźne, przykrótkawe spodnie, krótki podkoszulek, i oczywiście niczym dziecięcy- rozepchany do granic wytrzymałości plecak. Nie jest to jednak rozepchanie tylko fizyczne, ale oni w tych plecakach niosą swoje rodziny, kłopoty, może ktoś jest nieuleczalnie chory, ktoś ma problem z alkoholem, zdaje maturę - i co dalej, łączy się sakramentalnym TAK. Może ktoś ze znajomych dorzucił jeszcze swoją intencję o pracę. Czy to nie jest cięższe? Tu widać moc owego duchowego pielgrzymowania. Ale są także i inni z czarnym świecącym butem, może na szpileczkach, w garniturze, z leciutką torebką. To zapewne ci, którzy dojdą do rynku, Sanu może do granic miasta. Przed Bazyliką słychać już jednolity szum, ale powoli wszyscy zaczynają wchodzić do Katedry, bo tam za kilka minut zacznie się Eucharystia, która odtąd przez kolejne dwanaście dni będzie rozpoczynać dzień tej zebranej ze sobą wspólnoty. Pokrzepiające słowo Pasterza diecezji, zapewnienie o duchowym pielgrzymowaniu. To ważne, bo na drodze będzie wiele kryzysów, a ze świadomością, że ktoś o mnie pamięta, modli się, idzie się różnie. Ale i bez tego zawsze jest człowiek, który chętnie pomoże. Czy można iść samemu?

Posileni Słowem i Ciałem Pańskim wylewają się niczym górską lawiną na plac katedralny. Tu już jest eksplozja radości. Zaczynają odzywać się pierwsze mikrofony. Jakaś mama udziela ze wzruszeniem córce ostatnich rad, inna żegna się z rodzicami, rodzeństwem, inna zapłakana czyni palcem na czole dzieciom znak krzyża. W innym miejscu małżonkowie w objęciach i wzruszeniu pozostawiają sobie ostatnie



słowa, choć zapewne będą dzwonić do siebie przez kilka następnych dni. Obok płacze kobieta, która zapytana odpowiada, że od piętnastu lat wędrowała z nimi dziś nie może, lekarz zabronił bo zdrowie nie pozwala. Pojawił się ksiądz biskup - pierwsza grupa wyrusza. Zaczyna



na się śpiew, ostatnie pożegnania, uściski, łzy. I wychodzą na ulice Przemyśla. O Boże ile tu ludzi, niektórzy w pośpiechu udają się do pracy, inni wyszli popatrzeć na ten spektakl wiary, który rozgrywa się na ich oczach każdego roku. A oni idą, ciągle idą razem wspierając i dzieląc trudy i radości drogi. Przed mostem czekają już policjanci by przez całe miasto czuwać na bezpieczeństwie pielgrzymów. Grupa jest jeszcze bardzo duża, ale za chwilę ostatni zaczął odchodzić, zostaną tylko ci, którzy idą do końca, do Matki. Za plecami ustawia się już kolejna grupa i kolejny śpiew, jakie to piękne. A oni już na moście na Sanie. Ludzie machają, uśmiechają się, proszą o modlitwę, podziwiają, płaczą.

Powoli cichnie gwar miasta, pierwsze poważne ogłoszenia odnośnie bezpieczeństwa, organizacji, porządku. Zbliżają się do kościoła. Szansa na zgięcie kolan po tych 8 kilometrach drogi. Krótka modlitwa, niektórzy wychodzą, inni zostają, ale to jeszcze nie czas na odpoczynek, trzeba iść dalej. Jeszcze kilka kilometrów i oczekujący gospodarze podadzą zupę, pierogi, kanapki, ciastka. I już ich widać. Oni też czekają na tę chwilę cały rok, to dla nich święty dzień. Jedna z gospodyń mówi, że to jakby sam Pan Jezus przechodził przez ich wioskę. Jak cenny jest człowiek dla człowieka. Gdyby tak iść samemu, czy też by mnie tak przyjeł? Jeden ze starszych panów nie może się podnieść bo nie ma siły. Zaraz podchodzi dziewczynka i przynosi miskę zupy, nie ma co się martwić zawsze znajdzie się ktoś, kto pomoże. A po jedzeniu lepiej się idzie. I ruszyli w dalszą drogę. Nie można się ociągać, bo nikt tu nie będzie czekał. Kolejna grupa nadchodzi. Trzeba im zrobić miejsce.

A oni już na trasie. Komuś ciężko, ale ten pan idący z boku chwycił plecak i do kolejnego postoju będzie go niósł. Może ma jakąś in-

tencję. A może ktoś przed chwilą go o to prosił. I idą ciągle przez pola z pieśnią, modlitwą, rozmową na ustach. Jakie to piękne. Przedstawienie grupy, tych najważniejszych oczywiście, choć tutaj każdy jest ważny, a pod koniec to wszyscy będą się już znali. I tak mijają kolejne godziny dnia. To pierwszy dzień. Widać także młodzież z odbłaskowymi koszulkami z napisem RADIO FARA. To ci, dzięki którym cała diecezja może śledzić, co dzieje się na pielgrzymim szlaku. Kilka dobrych wywiadów przeprowadzą a każdy chciałby pozdrowić swoich, podzielić się doświadczeniami.

Wieczór jest blisko, starzy piechurzy wiedzą, że jeszcze dwa zakręty, prosta i będzie miejsce z bagażami. Stąd rozejdą się wszyscy z gospodarzami do ich domów. Jeszcze wieczorne modlitwy i jest plac z samochodem. To pierwszy dzień: każdy uśmiechnięty, ale zadowolony. Jutro zbiórka wcześniej rano, więc trzeba się wyspać. Ale ileż pytań będą mieli gospodarze. Może jacyś znajomi od lat, należy wszystko opowiedzieć. I od rana z powiększonym znowu plecakiem ruszą na kolejny dzień. Ten plecak będzie cięższy każdego dnia. Tak potrzebny jest człowiekowi człowiek, by nieść, gdy inny nie może.

To droga tych, którzy zdobyli się na odwagę pójść na Jasną Górę z Przemyśla. Ale ludzi mamy wokół siebie, codziennie, może nawet ich nie dostrzegamy. Nie ma potrzeby iść na pielgrzymkę, by podać komuś „miskę zupy”, „ponieść plecak”. Zawsze mamy obok siebie ludzi, wystarczy tylko popatrzeć i otworzyć oczy nie w stronę lustra, lecz odwrócić się w drugą stronę. Oni tam są. I czekają.

W dzisiejszych czasach ludzie zaczynają rozumieć, że nie sposób żyć dalej we wzajemnej izolacji. Przed grupami społecznymi, wspólnotami, sama jednostką stoi niebezpieczeństwo zamknięcia się w sobie. Wspólnota jest miejscem, do którego przynależymy, które traktujemy jak naszą ziemię, w którym odnajdujemy naszą tożsamość. We wspólnocie jęka jest rodzina przychodzimy na świat, w niej się wychowujemy. Kolejną wspólnotą naszego życia jest Kościół. Człowiek nie jest samotną wyspą i nie może żyć w izolacji, potrzebuje kogoś obok siebie. Rzekł Bóg „nie jest dobrze, aby mężczyzna był sam; uczynię mu zatem odpowiednią dla niego pomoc”. I tak się stało człowiek ma człowieka do pomocy. Nie można go pokochać jeżeli nie uświadomimy sobie że to Bóg chce być kochany przez nas w drugim człowieku, we mnie i w Tobie.

W sercu każdego z nas kryje się smutek, rana naszej samotności, która jest szczególnie mocna w chwilach naszej słabości, porażki, śmierci. Warto więc kontynuować (a może dopiero rozpocząć) wspólną drogę, podejmować pielgrzymkę. Nadzieja nie zginęła!

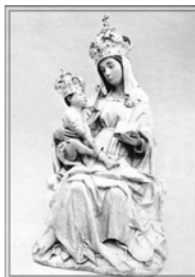


kl. Waldemar Hareza

Matka Boża Jackowa

Droga - prosta, kręta; długa, krótka; pod górę, z góry... Na każdej z nich spotykamy osoby, które Bóg przed nami postawił. Spośród nich wielu to znajomi, przyjaciele, bardziej lub mniej bliscy naszemu sercu. Ale jest jedna osoba, która w życiu, w sercu każdego z nas zaznacza się szczególnie - matka, mama, mamusia... Jak wielką rolę na naszej drodze życia odgrywa ziemska matka, myślę, że nie trzeba nikomu udowadniać. Jest też Ta, która jest Matką nas wszystkich, Ta, która wszystko rozumie, sercem ogarnia każdego z nas. Jedni zwą Ją Pani Górecka, inni Częstochowska. My w naszym grodzie nad Sanem czcimy Panią Przemyską, Matkę Bożą Jackową. Tytuł ten pochodzi od św. Jacka. Urodzony w Kamieniu Śląskim, w ziemi opolskiej, w XII wieku wstąpił do zakonu dominikańskiego. Był znakomitym kaznodzieją i misjonarzem. Wiele wysiłku wkładał w to, aby ukazać swoim rodakom prawdziwe wartości autentycznego chrześcijaństwa. Wrażliwy na ludzkie potrzeby i bolączki. Zachowane do dziś nieliczne świadectwa wskazują na szczególną rolę kultu Matki Bożej w jego życiu. Zmarł w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, 15 sierpnia 1257 roku. Bezpośrednio po śmierci rozpoczął się kult św. Jacka. Po kanonizacji w 1594 roku kult ten rozpowszechnił się. Postać św. Jacka otoczono pięknymi legendami. Oto jedna, która wyjaśnia tytuł naszej Przemyskiej Matuchny.

Pewnego dnia podczas akcji misyjnej na Rusi, Jacek odprawiał mszę świętą w kościele w Kijowie. Gdy skończył, dano mu znać, że Tatarzy napadli na miasto rabując i mordując mieszkańców. Nie namyślając się wziął z ołtarza puszkę z Najświętszym Sakramentem i zamierzał z nią uciekać. Wtedy usłyszał głos: „Jacku, Syna Mego wziąłeś a Mnie tu zostawisz?” Wziął wtedy alabastrową figurkę Najświętszej Maryi Panny w drugą rękę i nie czując jej ciężaru wyszedł szczęśliwie z miasta, przeprawił się suchą nogą przez Dniepr, dotarł



do Halicza i następnie przez Lwów wrócił do Krakowa.

Dzisiaj- jak śpiewamy w jednej z pieśni wychwalających cnoty św. Jacka - patronuje Ona teraz przemyskiej bazylice, a w ołtarzu św. Jacek zwraca ku Niej swe lice. Gotów bronić swojej Pani przed nawałnicą nową, gdy krzyża wróg chciałby

wkroczyć w starą rubież piastową.

I chciałoby się wyrazić swój zachwyt słowami kolejnej pieśni: Jak mocno serce biło mi, gdy po raz pierwszy ujrzałem obraz Twój.... Radość, łzy, wdzięczność, ciepło, miłość - tego wszystkiego w jednym momencie doświadczyłem, kiedy wpatrywałem się po raz pierwszy w oblicze naszej przemyskiej Pani. To tu uświadomiłem sobie, że nikt nie kocha nas bardziej niż Ona - mimo naszych potknięć i całej naszej nędzy. To tu, z różańcem w dłoni zanosilem swoje prośby o pomoc w rozeznaniu drogi powołania. I zrozumiałem, że muszę tak jak Ona słuchać i wypełniać słowo Boże, tak jak Ona pogłębiać wiarę w Boga, zawierzać się Mu w codziennym życiu.

Ilećroć spotykam się z Panną Przemyską, w grodzie naszym czczoną, czerpię w swoje życie głębię wiary, umacniam miłość i nadzieję, by dzisiaj przemierzać kolejne kroki, etapy - już seminaryjnej - formacji.

Wiem, że nieustannie jest ze mną Ona- Matka Boża Jackowa, wiem, że ilećroć w Nią spoglądam, w Jej Obliczu spotykam Boga twarz.

Wiemy wszyscy, że chociaż wiele nosi imion, jest tylko jedna. Wiem, że zawsze będzie na mojej drodze, bo z Nią droga prosta jest. Z nią droga prowadzi do celu, gdzie Zbawca nas czeka, nasz Pan. Trzeba nam pamiętać nieustannie o Jej obecności w naszym życiu. Ona, jak kochająca Matka, ciągle оруduje za nami u swego Syna, ochrania nas swoim macierzyńskim płaszczem. Wśród tylu dróg poprowadź serce me... Poprowadź Matko... Poprowadź je tam, gdzie radość wieczna jest.

*Do Ciebie Matko biedne dzieci Twoje,
Uciekamy się otwórz łaski zdroje.
I wlej je na nas Przeczysta Dziewico
Bogarodzico, Bogarodzico...*





kł. Marcin Wilk

„Fons omnis sanctitatis...”

Listopad, rozpoczynający się Uroczystością Wszystkich Świętych, a także Wspomnieniem wszystkich Wiernych Zmarłych, jest czasem szczególnej refleksji nad przemijalnością i ostatecznym celem każdego człowieka. W tym miesiącu zarówno modlimy się za zmarłych bliskich naszemu sercu, jak również myślą przywołujemy postaci, których świadectwo życia na ziemi, było i jest zobowiązującym przykładem.

Po zapoznaniu się z hagiografią spotrzegamy, że Ludzie Kościoła budowali swoją Świętość wzorując się na bożych postawach innych osób. Zapewne każdy człowiek może w tym miejscu wskazać szlachetnych ludzi, będących darem od Boga, których dobroć, prawdziwość, szczerość, wdzięczność, pogoda ducha, gorliwość w spełnianiu codziennych drobnych obowiązków i nadzwyczajność w byciu zwyczajnym - stanowiły istotny bodziec do dalszego wzrostu w życiu duchowym. Wśród nich, chciałbym zaprezentować zmarłego w ubiegłym roku franciszkanina, przebywającego przez ostatnie 18 lat swojego życia w klasztorze przy mojej parafii, który jasniejąc świętobliwością w oczach współbraci i parafian, mobilizował do autentycznej przemiany w Nowego Człowieka.

O. Leon Józef Kucharski OFMConv., bo o Nim mowa, urodził się 11 marca 1918 r. w Strachocinie, na ziemi sanockiej. Dzieciństwo spędził w rodzinnej miejscowości, a w latach 1925 -1933 odbywał naukę w siedmioklasowej szkole podstawowej w miejscowościach: Strachocina, Jaćmierz i Zarszyn. W wieku 15 lat poprosił o przyjęcie do Małego Seminarium OO. Franciszkanów w Niepokalanowie. W świadectwie moralności jego katecheta napisał m. in.: „...przez cały czas nauki szkolnej zachowywał się wzorowo, spełniał z pobożnością praktyki religijne i był dobrym przykładem dla innych uczniów”. Po ukończeniu Małego Seminarium w 1937 roku poprosił o przyjęcie do Zakonu OO. Franciszkanów. Decyzją ówczesnego prowincjała został skierowany do odbycia nowicjatu w Niepokalanowie. W opinii proboszcza parafii w Strachocinie ks. Władysława Barcikowskiego można przeczytać:

„...Józef Kucharski (...) znany mi od małego dziecka, był spokojny, pobożny, służył często do Mszy świętej, później jako student zachowywał się zawsze jak najlepiej i całym swoim zachowaniem zdradzał powołanie do stanu (duchownego) zakonnego. Otrzymał od rodziców swoich bardzo dobre katolickie wychowanie (...).” Po złożeniu pierwszej profesji

zakonnej w latach 1938-1939 przebywał we Lwowie, gdzie ukończył VIII klasę, zdał maturę i w trudnym okresie okupacji sowieckiej, a następnie niemieckiej, rozpoczął studia seminaryjne.

Po święceniach kapłańskich w 1942 roku pozostał we Lwowie i pracował tam jako katecheta przez najbliższe dwa lata. Po zakończeniu wojny, przebywał przez rok czasu w Niepokalanowie i podjął tam obowiązki opiekuna i magistra nowicjatu kleryków.

Wielką pasją i zamiłowaniem o. Leona była muzyka kościelna, dlatego też decyzją przełożonych zakonnych został skierowany do odbycia studiów muzycznych w latach 1946 - 1952 na poznańskim uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. W liście z dnia 7 stycznia 1948 roku ówczesny prowincjał pisał do niego: „Cieszę się z tego, że przy Bożej pomocy i wytrwałej pracy osiągasz dobre wyniki w egzaminach. Zakon franciszkański zawsze miał wybitnych muzyków i z zamiłowaniem oddawał się tej sztuce. Po wyjeździe o. Rizziego i o. Jermiego, nie mamy muzyka w naszej Prowincji”. Jeszcze w czasie trwania studiów o. Leon w latach 1949 -1952 wykładał śpiew w seminarium gnieźnieńskim.

Po ukończeniu studiów muzycznych od 1952 roku przez trzy lata o. Kucharski był wykładowcą śpiewu i muzyki w WSD OO. Franciszkanów w Krakowie. W latach 1955-1957 przebywał i pracował w Rychwałdzie, a od 1957 w Sanoku, gdzie po ośmiu latach został gwardianem tej placówki na okres trzech lat. Przez sześć lat był gwardianem w Radomiu. Od 1974 wrócił do krakowskiego WSD jako wykładowca muzyki aż do 1983 r. Podczas kapituły prowincjalnej w 1974 roku został wybrany asystentem prowincjalnym Rycerstwa Niepokalaney. W roku 1983 został skierowany do Głogówka, a cztery lata później, mając 69 lat, przybył do klasztoru w Krośnie, gdzie przebywał przez niemal 18 lat, do końca swoich dni. Podczas pobytu w Krośnie podejmował obowiązki duszpasterskie na jakie pozwalał mu wiek i stan jego zdrowia.

Młódzież z Oazy parafialnej wspomina Zmarłego jako dobrodusznego zakonnika i wiernego aż do śmierci kapłana Chrystusa. Zwraca tutaj uwagę w sposób szczególnie na gorliwą postawę spowiednika, który pomimo choroby, cierpienia i słabości fizycznej, codziennie, wsparty o łaskę - małymi kroczkami spieszył do konfesonau, aby jednać ludzi z Miłosiernym Bogiem. Spowiadał długo przed, a także po Mszy Świętej. Mając stale na uwadze dobro

penitentów, nieraz zaniedbywał własne, zwłaszcza w okresie zimowym.

Znamiennym rysem osobowości o. Leona były serdeczna wdzięczność za każde znikome dobro, okazaną życzliwość i wyświadczoną przysługę, a także maryjny wymiar Jego wiary - pewnego zimowego dnia, poprosił o wysłanie listu na pocztę, po czym natychmiast ofiarował duży obrazek Matki Bożej z Dzieciątkiem. Z jego twarzy można było wyczytać wewnętrzne wyciszenie, ciepło i życzliwość dla każdego istnienia. Był człowiekiem dla innych nawet podczas swojej fizycznej niemocy - każdy patrząc na Niego, zatrzymywał się w refleksji nad sobą.

Pod koniec życia, przebywając w szpitalu, wiele cierpiał. Współbracia z krosnieńskiego konwentu, parafianie - towarzyszyli Mu poprzez odwiedziny i swoją modlitwę w Jego intencji. Choroba nowotworowa nasiliła się i ostatecznie „Siostra Śmierć” pokonała słabnące siły o. Leona 16 marca 2005 roku, w 87 roku życia, 68 roku życia zakonnego i 63 roku kapłaństwa.

21 marca 2005 roku odbyły się uroczystości pogrzebowe, którym przewodniczył ks. bp Adam Szal. Mszę Świętą koncelebrowało

51 kapłanów, na czele z prowincjałem o. Kazimierzem Malinowskim. W homilii pogrzebowej franciszkanin, który przyjął święcenia kapłańskie wspólnie ze Zmarłym, dał świadectwo o przykładowym życiu swojego Kolegi już jako kleryka. Mówił on, że w trakcie formacji seminaryjnej nie zdarzyło się, aby przyszła opinia zawierająca choć jedno złe słowo na temat śp. O. Leona.

O. Leon Kucharski pozostanie w pamięci parafian na długo jako wierny sługa Boga, kochający Go z „całego serca, z całej duszy i ze wszystkich sił swoich”.

Rozmyślanie nad kruchością ludzkiego bytu nierozzerwalnie wiąże się z apelem Boga: „Świętymi bądźcie (...)”. To jest powszechne powołanie. Święty Maksymilian Kolbe mawiał: „Kto chce być świętym – na pewno nim zostanie. Trzeba chcieć. Już w tym < chcieć > mieści się miłość Boża”. On sam tego chciał i osiągnął Świętość poprzez miłość w stopniu najwyższym, w obozie koncentracyjnym.

W tym szczególnym czasie, mając w pamięci Boże wezwanie do Świętości, dobrze jest zatrzymać się w refleksji nad sobą i postawić pytanie: „Quo vadis, homine?”



kl. Łukasz Szudelko

Niepodległość trudem pokoleń

„Półtora wieku krwawych nieraz i ofiarnych walk znalazło swój triumf w dniu dzisiejszym. Półtora wieku marzeń o wolnej Polsce czekało swego ziszczenia w obecnej chwili. Dzisiaj mamy wielkie święto Narodu, święto radości po długiej, ciężkiej nocy cierpień. W tej godzinie wielkiego serc polskich bicia czuję się szczęśliwym, że przypada mi zaszczyt otwierać Sejm Polski, który znów będzie domu swego ojczyzstego jedynym panem i gospodarzem.”¹

Takie słowa wypowiedział naczelnik Państwa Polskiego Józef Piłsudski w dniu 10 lutego 1919 roku. W dniu otwarcia Sejmu Ustawodawczego II Rzeczypospolitej. Wspominając dzień 11 listopada 1918 roku, dzień długo oczekiwany, dzień radosny, dzień rodzenia się Państwa Polskiego warto uważnie przeczytać te słowa, i głęboko przemyśleć je, wręcz przemyśleć w swoim sercu. Naród polski przez 123 lata zmuszony był stosować się do praw narzuconych przez obcą przemoc. Wiele pokoleń Polaków nigdy nie miało takiego komfortu, jak my dziś, że możemy żyć w wolnym kraju, swobodnie posługiwać się językiem, mówić o swojej historii, tradycji, tworzyć własną kulturę. Początkiem nieszczęścia był rok

1772 – pierwszy rozbiór Polski, następnie rok 1793 – drugi rozbiór Polski i ostatecznie nieszczęsny rok 1795, kiedy to trzej zaborcy – Prusy, Rosja i Austria całkowicie zagarnęły terytorium Polski, wymazując ją z mapy Europy. Od tego momentu Polska jako państwo przestała istnieć. Był to okres bardzo trudny dla całego społeczeństwa, które znalazło się pod wpływami obcych narodów, bardzo negatywnie nastawionych do tego, co polskie.

Każdy z zaborców zniewalających nasz kraj prowadził odmienną politykę wobec ludności polskiej. W zaborze pruskim społeczeństwo było poddawane bardzo silnej germanizacji. Prusacy chcieli jak najszybciej w Polakach wymazać ich świadomość narodową, co gwarantowałoby już na zawsze przynależność zagarniętych ziem polskich do Cesarstwa Niemieckiego. Podobna sytuacja była w zaborze rosyjskim. Dodatkowo połączona z zsyłką Polaków w głąb Rosji, co powodowało całkowite odcięcie od polskości. Największymi swobodami ludność polska cieszyła się w zaborze austriackim. Proces niszczenia w naszym społeczeństwie świadomości narodowej toczył się w różnych etapach historii z różnym natęż-

niem. Szczytowymi momentami były zawsze zrywy narodowe: Powstanie Listopadowe 1830, Powstanie Krakowskie 1846, Powstanie Styczniowe 1863, po których następowały bardzo silne represje ludności Polski.

Trzy powstania narodowe, udział Polaków w wojnach napoleońskich, wiośnie ludów w całej Europie, w I wojnie światowej świadczą o wielkiej żywotności społeczeństwa polskiego. Nigdy zaborcom nie udało wymazać się z polskich serc tych najważniejszych wartości, jakimi są: Bóg, Honor i Ojczyzna. Nawet upływ 123 lat życia w niewoli nie zniszczył naszego narodu, który żył śniąc, a kiedy trzeba, przelewając krew za wolną Ojczyznę. To, że Polska 11 listopada 1918 roku odzyskała niepodległość, to nie zasługa jednostek, to nie skutek I wojny światowej, ale trud wielu pokoleń, synów i córek polskiej ziemi. To wiele krwi przelanej za wolność „Naszą i Waszą” na frontach całej Europy.

Nasuwa mi się na myśl jeszcze jedna refleksja. Pierwszego listopada tego roku odwiedzając groby zmarłych stanąłem nad mogiłą legionisty – kuzyna mojej babci. Na jego nagrobku jest umieszczone zdjęcie młodego mężczyzny w mundurze z lat 1914-1918. Człowiek ten urodził się jako Polak, ale obywatel Cesarstwa Austriackiego, jego rodzice nie wiedzieli, co to wolna Polska, podobnie jego dziadkowie. A jednak, kiedy zabłysnęła iskra nadziei na wyzwolenie Ojczyzny, nie zawahał się, aby walczyć za nią, bo w jego sercu zachowała się miłość do ojczystej wiary, ziemi, tradycji. Jego młode serce nie poderwało się do tego, aby walczyć za

Austriaków czy Prusaków, ale walczył za wolną Polskę, w której nigdy nie było mu dane żyć. Zginął na froncie w 1917 roku. Ileż w naszej historii mamy takich cichych bohaterów, którzy złożyli swoje życie na ołtarzu Ojczyzny? A są przykładem wielkości społeczeństwa polskiego tamtych lat. Iluż mamy takich bohaterów, którzy walczyli o wolność, ale nigdy nie doczekali się niepodległej Polski, ale za to umierali wolnymi, umierali jak prawdziwi obywatele Polski, którzy dobrze wypełnili swój obowiązek.

Dziś już nie mamy wojny, żyjemy w wolnym, niepodległym kraju. Kraju, który ma swojego prezydenta, rząd, parlament, który rozwija się gospodarczo, jest członkiem Unii Europejskiej i należy do struktur NATO, ale czy to wszystko pozwala zaprzestać nam walk? Musimy nadal walczyć o zachowanie najwyższych wartości, dzięki którym Polska przetrwała. Musimy walczyć o to, aby przekazać to wszystko kolejnym pokoleniom, aby ludzie, którzy będą żyli po nas byli tak dumni ze swych przodków jak my jesteśmy dumni z tych, co walczyli nam dzień 11 listopada.

¹ Licząc od I rozbioru polski znajdowaliśmy się w niewoli przez 146 lat czyli prawie półtora wieku



kł. Roman Kocaj



Czy w dzisiejszym społeczeństwie potrzebny jest kaznodzieja terapeuta?

Żyjemy w terapeutycznej epoce. Patrząc na dzisiejsze społeczeństwo, można bez wątplenia stwierdzić, że człowiekowi dzisiaj potrzeba kaznodziei terapeuty.

1. Bóg terapią człowieka.

W potrzebie wybawienia i terapii ludzie znajdują się od popełnienia grzechu pierworodnego. Pierwsza terapia, jaką Bóg przeprowadził z człowiekiem, polegała na pociągnięciu go do odpowiedzialności i ocaleniu przez wzgląd na obiecanego wówczas Mesjasza. Później w Egipcie, Bóg jest tym, który widzi

nędę Izraela, słyszy narzekanie na ucisk ze strony Egipcjan. Znając jego cierpienie, interweniuje na rzecz wyzwolenia go z ucisku. W drodze przez pustynię Bóg oferuje Izraelitom swoją "pomoc medyczną": Ja, Pan, chcę być twym lekarzem (Wj 15, 26). W Septuagincie na określenie "służyć" używane jest wyłącznie słowo therapeuein. Mojżesz jest therapoon, czyli sługą Boga. Także przez niego Bóg leczy Izraelitów.

W Nowym Testamencie Jezus Chrystus przychodzi jako prawdziwy therapoon, leczący wszystkie choroby i wszystkie słabości. Dzięki Niemu therapeuein zyskuje znaczenie uzdrawiania. Cała Jego misja jest przeniknięta uzdrawiającym podejściem do człowieka.

2. Terapeutyczne oddziaływanie Jezusa.

Jezus wskazuje na działanie Boga, który obecny pośród swego ludu, aby wzmocnić na duchu i leczyć. Słowa Jezusa niosą pociechę. One uzdrawiają, gdyż podnoszą człowieka oraz niosą mu światło i wolność. Zabierając głos Jezus nie tylko mówi, ale i działa jak terapeuta, wskazując drogę do uzdrowienia serc i relacji międzyludzkich. On wie co boli i dręczy ludzi: niesprawiedliwość społeczna i odludna religia. Konflikty, które nekają ludzi, również i Jemu nie są obce. Sam zajmuje miejsce pośród ubogich. Jezus jest wzorcowym przykładem jak podchodzić do ludzi i społeczeństwa w sposób terapeutyczny.

3. Wpływ kaznodziei terapeuty na ludzi (społeczństwo).

Homilia stanie się terapią, jeśli znajdzie w niej wyraz – tak jak w Jezusie i Jego słowach – troska Boga i Kościoła o ludzi potrzebujących i cierpiących. Będzie to miało miejsce wtedy, gdy kaznodziei uda się wydobyć orędzie chrześcijańskiego ukryte w nim siły uzdrawiające, które pomogą słuchaczom w rozwiązaniu dotykających ich trosk i problemów.

Co należy robić, aby każdy słuchający kaznodziei mógł wejść w kontakt z Bogiem i doświadczyć, że On jest zbawcą i lekarzem jego całej osoby?

Głoszenie powinno rozpocząć się od służby zdrowiu w przypadku osób znajdujących się w zdrowotnym kryzysie, które dają ukojenie duszy. W takim przypadku głoszenie Dobrej Nowiny człowiekowi winno wyrazić się najpierw w opatrzeniu jego ran.

Terapeutyczne odniesienie kaznodziei do słuchacza w homilii do J 10,11-18
O. Artur Wilczek CSSR

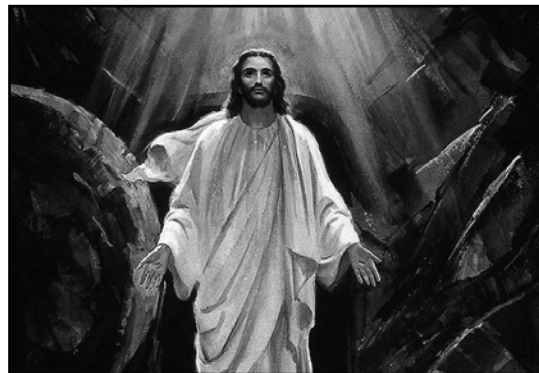
„We śnie siedłem brzegiem morza z Panem, oglądając na ekranie nieba całą moją przeszłość. A po każdym dniu, który minął, pozostawały na piasku dwa ślady: mój i Pana. Czasem widziałem tylko jeden ślad i - rzecz dziwna - było to wtedy, gdy przeżywałem najcięższe chwile w moim życiu. Rzekłem więc do Pana: Panie, przecież postanowiłem iść zawsze z Tobą, a Ty przyrzekłeś mi być zawsze ze mną. Czemu więc zostawiłeś mnie samego, gdy było mi tak ciężko? A wtedy Pan odrzekł: Wiesz, dziecko, że cię kocham i nigdy cię nie opuszczę. A w te dni, gdy na piasku widziałeś tylko jeden ślad, to Ja niosłem ciebie na moich ramionach”.

Życie ludzkie to nie łatwizna, to nie sielanka ani bez troskie dni wolne od wysiłku i bólu. Jezus

przecież nie przyszedł na świat, żeby nas uwolnić od trudu i cierpienia. To, czego nas uczy także i dzisiaj, to zawierzenie Bogu, to zaufanie, że dobry Ojciec czuwa nad Tobą i nade mną w każdej godzinie, a zwłaszcza wtedy, gdy jest nam trudno; to wiara, że Bóg, jak dobry pasterz, niesie mnie na swoich ramionach, gdy cierpię i gdy zagraża mi niebezpieczeństwo.

Rok temu poznałem pewnego młodego człowieka. Ma na imię Marek. Gdy 10 lat temu odbywał służbę wojskową w nieszczęśliwym wypadku stracił obie nogi i od tego momentu jeździ na wózku inwalidzkim. Teraz ma 32 lata. Jest więc młodym człowiekiem, któremu zawaliło się - mówiąc po ludzku - całe życie. Bo jaka przyszłość czeka kalekę? A jednak - jak sam opowiada - od samego początku czuł, że jest w Bożych rękach, że Ojciec niebieski w tym cierpieniu go nie opuścił, gdyż go kocha. Od chwili, w której wydarzył się wypadek jest do głębi przekonany, że Bogu naprawdę na nim zależy. Dlatego nie buntuje się i nie przeklina swojego losu. ale ze spokojem godzi się na swoje cierpienie, bo - jak mówi - czuje się jakby niesiony przez Boga. Bóg jest dla niego Dobrym Pasterzem, który opatruje jego rany i z dnia na dzień go wspomaga swoją mocą.

Kaznodzieja jest tym, który ma skierować wzrok słuchaczy na Boga, a On



rzeczywiście dokonuje w życiu ludzkim wielkich rzeczy. Próbuje przekonać ich że nawet w chwilach wypełnionych cierpieniem Bóg Ojciec jest blisko i jak dobry pasterz bierze zranionego człowieka na swoje ramiona. Kaznodzieja ma bardzo ważne zadanie podczas mówienia kazania. Ma tak mówić, i tak się wczuć w cierpienie, chorobę człowieka, aby ludzie wychodząc z Kościoła poczuli, że zostali uleczeni i uzdrowieni.

Społeczństwo to konkretni ludzie. Jeśli słowa Boga w kazaniu będą w stanie ich przemienić, uzdrowić, to staną się zaczątkiem odnowy społeczeństwa. Nie będą musieli uciekać się do różnych uzdrowicieli i wróżów, których tak bardzo świat dzisiaj poleca.



kl. Bartosz Zakrzewski

Przyjaźń, co to takiego?

„Wokół powstania przyjaźni istnieje zawsze jakaś tajemnica. W pewnej chwili po prostu ona pojawia się i jest. Bóg otworzył w moim sercu drzwi właśnie przed tym człowiekiem.” Píše w swojej książce „Życzę Ci przyjaciela.” Anselm Grün.

Otwartość serca jest kluczem do międzyludzkich relacji, trwałych, mocnych, do których człowiek tęskni i powraca. Siegając do przeszłości zapewne wielu z nas może przypomnieć sobie osoby, którym otworzyliśmy nasze serca.

Często jednak dziwimy się naszym wyborem. Zadajemy sobie pytanie: dlaczego właśnie tę a nie inną osobę uważamy za przyjaciela? I zdajemy sobie w końcu sprawę z tego, że nie ma jednoznacznego, wyraźnego powodu, dla którego ktoś staje się naszym przyjacielem. To jest owa tajemnica; dar Boży, którego istota trudna jest do pojęcia. Łatwiej zatem będzie odpowiedzieć na pytanie: czym jest przyjaźń? Choć i w tej kwestii danie wyczerpującej odpowiedzi nie będzie proste.

Na wstępie założyliśmy, że większość z nas doświadczyło „otworzenia siebie”, doświadczyło wyjątkowej relacji, którą odczuwamy lub odczuwaliśmy względem konkretnej osoby. „Przy przyjacielem mogę być sobą – takim jakim jestem.” napisze A. Grün. Lecz tu powstaje pytanie: jakim człowiekiem jestem? Czy faktycznie jestem sobą? Czy przy przyjacielem nie zakładam maski, która wcale nie odzwierciedla stanu mojej duszy?

W dzisiejszym świecie widzi się tendencje, choćby w środkach masowego przekazu, do ukazywania modelu życia „więcej mieć aniżeli być”. Przykładem są choćby reklamy, które wprowadzają w mentalność społeczeństwa fałszywą hierarchię wartości: „Jeśli będziesz to posiadać staniesz się piękna, najlepszy...”, lub „...inne będą ci zazdrości!”, albo „Tylko dla najlepszych!”. Te i inne bodźce zapewne wpływają na myślenie ludzi, a szczególnie młodych, przewracając i wypaczając rozumienie podstawowych wartości takich jak patriotyzm, miłość, odpowiedzialność, godność, a w nich między innymi przyjaźń. Oczywiście nie należy generalizować, uogólniać oceny tego zjawiska gdyż wiemy, że są w świecie ludzie dobrego serca wychowani na fundamencie wiary i tradycji ojców, którzy rozumieją i kierują się wartościami najwyższymi. Lecz czyż nie da się zaobserwować w zachowaniu młodzieży poczucia odosobnienia, zagubienia w świecie, lęku przed życiem, samotności? Czyż wobec tego

wszystkiego co nas „przytłacza” nie próbujemy na swój sposób odnaleźć się, rywalizując między sobą o „najlepsze miejsca” w społeczeństwie, o uznanie w oczach innych? Jest wiele dróg lepszych czy gorszych, które pomagają nam przetrwać trudne sytuacje życiowe. I tu zasadnicze miejsce zajmuje przyjaźń, której wartość podkreśla Arystoteles: „bez przyjaciół nikt nie mógłby żyć, chociażby posiadał wszystkie inne dobra; ci, którzy mają bogactwa, stanowiska i władze, zdają się najbardziej potrzebować przyjaciół.”

Jakże aktualne zdają się dziś słowa tego filozofa! „Wszyscy jesteśmy samotni, wszyscy jesteśmy przyjaźnią. Przyjaźń jest dobrem najbardziej utęsknionym i najbardziej cenionym.” napisze A. Grün. Grecy filozofowie zaś uważali, że „człowiek potrzebuje przyjaźni, jeśli nie chce doznać uszczerbku na swej duszy.” Stąd możemy wywnioskować, że w każdym człowieku istnieje potrzeba przyjaźni. Ta relacja staje się niejako warunkiem do tego by być w pełni człowiekiem, albowiem z przyjacielem możemy wejść do samej głębi. Głębia ta szeroko pojmowana dotyczy życia takim jak naprawdę go przeżywamy, dotykamy, doświadczamy a potem jakim możemy się dzielić gdy Bóg otwiera nasze serca na przyjaciela, bo „przyjaciel to ktoś, przy kim mam odwagę być sobą” (Pam Brown). Lecz dlaczego daje się dziś odczuć załamanie i złe rozumienie wartości jaką jest przyjaźń?

„Przyjaźń powstaje wtedy gdy przez dialog dokonana się wymiana tego co jest głębokie w sercu każdej osoby” (Ks. Franciszek Błażnicki).

By stworzyć relację z drugim wprawdzie musi nastąpić spotkanie dwóch osób, nie przez telefon czy przez internet, to musi być spotkanie osobowe. Podczas spotkania nawiązujemy dialog – dialog w pełnym tego słowa znaczeniu. Porozumiewamy się werbalnie, ale również niewerbalnie, tzn. za pomocą gestów, mimiki twarzy. Nasze wypowiedzi nieświadomie wprowadzamy w kontekst języka ciała. Zatem bezpośrednie komunikowanie się przebiega na dwóch płaszczyznach, które przy szczerych in-



tencjach wzmacniają się nawzajem, wzbudzając w odbiorcy zaufanie. Dzięki temu intuicyjnie wyczuwamy potencjalnego „kandydata” na przyjaciela. Dopiero później możliwe jest otwarcie swego wnętrza, tego co we mnie jest „głębokie”, czym żyję, czym się interesuję, co kocham, ale i tego co mnie boli, smuci. Trzeba pamiętać, że przyjaźń potrzebuje czasu, nie utworzy się ona od razu, wymaga często poświę-



cenia a także wyzbycia się egoizmu – dlatego jest to ciężka i żmudna praca. Jeżeli chcemy nawiązać głęboką relację, powinniśmy przede wszystkim budować ją na prawdzie i szczerości. Trudno jest budować relacje na rozmowie płytkiej (tzn. na rozmowie o pogodzie lub o kimś, lub na wyszukanych tematach zastępczych). Tu potrzeba jest wymiany tego co głębokie i piękne. Ludzie budujący ze sobą relację dostrzegają w sobie piękno... Tak pewien kaznodzieja tłumaczył proces rodzenia się przyjaźni. Niech uzupełnieniem tego będą słowa Jana Pawła II – człowieka, którego spojrzenie napawało miłością a zarazem głębią niewypowiedzianego dialogu, który nawiązywał z każdym, niezależnie czy była to znajoma czy „obca” osoba. „Ja za wszystkich po prostu się modłę dzień w dzień. Gdy spotkam człowieka, to już się za niego modłę – i to zawsze pomaga w kontakcie. Mam taką zasadę, że każdego przyjmuję jako osobę, którą przysłał mi Chrystus – jako tego, którego mi dał i zarazem zadał”. Prawdą jest tajemnica wzroku papieża obejmującego całego człowieka z jego krzyżem, jakby samego Chrystusa cierpiącego, który jest w każdej osobie; mogą poświadczyć ci, którzy mieli to szczęście spotkać się z Nim i spojrzeć sobie w oczy. Czyż nie takiego dialogu pragniemy z naszym przyjacielem? Lecz to długa droga żmudnej pracy nad darem Bożym (przyjaźnią), która jest również zadana.

Lecz by przyjaźń okazała się prawdziwą, często zostaje wypróbowana przez różne koleje losu. Cycero powie: „Prawdziwego przyjaciela poznaje się w biedzie”. Wtedy gdy opuszcza nas szczęście nasi pseudo przyjaciele nie widzą sensu podtrzymywania znajomości z nami, gdyż kończą się „okazje”, z których

mogli czerpać korzyść szeroko rozumianą, wtedy gdy to szczęście nas nie opuszczało. Wtedy zostają ci prawdziwi przyjaciele, którzy są ze względu na osobę. „Przyjaźń będąc sprawnością, jest pragnieniem dobra dla drugiego.” (M. D. Philippe). Ludzie nie lubią słabości innych chyba, że w konfrontacji z własnymi osiągnięciami. Grün zaś powie: „Nade wszystko najważniejsze jest to, że przy przyjacielem mogą być słaby. Mogę złożyć broń i pokazać swoje rany.” Słabości, które odkrywam przed przyjacielem stają się siłą i mocą dającą życie, szczęśliwe życie. Dzieje się tak gdyż przyjaciel nigdy nie będzie oceniał nas pod kątem tych słabości, ran zadanych przez życie, osiągnięć, sukcesów, stanu mego ducha, lecz zawsze będzie tak samo głęboko na mnie patrzył jak na osobę wyjątkową i jedyną w swoim rodzaju, gdyż stworzona na obraz i podobieństwo Boże. „Henri Nouwen doświadczył, że ukrywanie słabych stron przed przyjacielem uniemożliwia jemu samemu życie pełnią życia. To właśnie moje słabości otwierają mnie na przyjaźń.” Pewien człowiek powiedział „Przyjaciel to ten, który wszystko o Tobie wie ale i tak Cię kocha.”

Dopiero w cierpieniu próbuje się prawdziwa przyjaźń. Powie Pismo Święte: „Jeżeli chcesz mieć przyjaciela posiadź go po próbie, a nie zbyt szybko mu zaufaj! Bywa bowiem przyjaciel, ale tylko na czas jemu dogodny, nie pozostanie nim w dzień twego ucisku” (Mdr 6,7. 10). Wspominaliśmy już, że przyjaźń wymaga wyzbywania się egoizmu i jako relacja służy rozwojowi człowieka. Wraz z naszym dojrzewaniem, przemianą siebie, dorastaniem potrzeba jest, by przyjaźń również wzrastała często konfrontując się z naszymi wadami, błędami, złymi wyborami. Trudne doświadczenie w przyjaźni nie jest warunkiem jej autentyczności lecz często świadectwem czy taką jest. Komentarz w Biblii Poznańskiej powie, że „zasadniczym przymiotem prawdziwego przyjaciela jest wierność w nieszczęściu”.

Ktoś kiedyś powiedział, że „jeśli przestaje się być przyjacielem, nigdy się nim nie było”. „Przyjaźń jest czymś twórczym, konstruk-



tywnym, międzyosobowym i polega na dojrzałym zaangażowaniu woli w odniesieniu do drugiej osoby pod kątem jej dobra” (Kiereś). Wszystko co w przyjaźni powstaje, ginie, rodzi się, tworzy, stanowi fundament, powinno kierować się ku dobru przyjaciela. Dlatego dobro drugiego w prawdziwej przyjaźni zajmuje zasadnicze miejsce. Wraz z naszym dorastaniem nasze kroki powoli kierują się ku powołaniu, tej wyjątkowej drodze, którą Bóg przygotował dla każdego człowieka. I może się okazać, że wspólne drogi z moim przyjacielem zaczynają się rozchodzić w dwie różne strony. Nie jest tak zawsze, lecz gdy zaistnieje taka sytuacja cóż wtedy czynić? Czyż zrezygnować z tego do czego mamy przekonanie, że to nasza droga życiowa, dla przyjaźni? Gdyby w tym momencie przyjaźń zatrzymywała nas, to zaprzeczałoby fundamentalnej prawdzie na jakiej została zbudowana – dobro przyjaciela! Czy kierując się

dobrem przyjaciela jesteśmy w stanie poświęcić to, co według nas najcenniejsze, samej przyjaźni? „Istnieją przyjaźnie, które przemijają nie dlatego, że były złe, tylko dlatego, że łączyły się z pewnymi fazami rozwoju[...]. Teraz jest czas, by pójść dalej, każdy swoją drogą. Jestem ci wdzięczny za wszystko co było. Jednocześnie jestem gotowy, żeby zostawić, przeszłość za sobą.” Tak przedstawia Anselm Grün jedną z pewnych postaw jakie możemy przyjąć wobec takiej sytuacji.

Temat przyjaźni jest bardzo szeroki i nie da się go wyczerpać w kilku myślach, które tu zostały przedstawione. Miały one na celu przybliżyć czytelnikowi problem rozumienia przyjaźni i zachęcić go do głębszej refleksji na ten temat. Niech zakończeniem będą słowa Epikura: „Przyjaźń tańczy swój taniec wokół zamieszkałego świata i napomina nas, byśmy obudzili się do życia życiem szczęśliwym.”

Poświęcenie kaplicy w Dźwiniacze

Wspólna modlitwa przedstawicieli dwóch narodów, dwóch katolickich obrządków, dwóch łacińskich diecezji



s. Elżbieta Ślęp

Dźwiniaczka leży w rejonie borszowskim, na terenie dekanatu Czortków. Do Dźwiniaczki został zaproszony w 1883 roku Arcybiskup Zygmunt Szczęśny Feliński (1822-1895), po powrocie z 20-letniego zesłania w głąb Rosji. Arcybiskup zamieszkał w pałacu hrabiny Koziebrodzkiej i zajął się duszpasterstwem wśród miejscowych rzymsko-katolików. Sprowadził siostry Rodziny Maryi, postarał się o wybudowanie szkoły i kościoła. Spędził tu 12 ostatnich lat życia. Tu został pochowany w kaplicy cmentarnej będącej własnością rodu Koziebrodzkich i Kęszyckich. Po odzyskaniu przez Polskę wolności, w roku 1920 jego ciało przewieziono do Warszawy. Już za życia Arcybiskupa Felińskiego cieszył się wielkim poważaniem miejscowej ludności, zarówno polskiej, jak i ukraińskiej. Wszyscy znali jego dobre i chętne do pomocy potrzebującym serce. Zwracali się z prośbą o modlitwę w różnych intencjach. Po śmierci Arcybiskupa, ludzie uważali, że mają swego orędownika w niebie.

Jedną z pamiątek pozostało źródło, o którym wiadomo, że modlił się przy nim Arcybiskup Feliński. Zauważono, że woda ze źródła ma cudowne właściwości, pomogła wielu ludziom w ich dolegliwościach. Po wyjeździe z tych terenów zarówno siostr, jak i ludności polskiego pochodzenia, mieszkańcy nie zapomnieli swego „świętego biskupa” i prze-

kazali pamięć o Felińskim na młodsze pokolenia. Dzięki staraniom miejscowego proboszcza grekokatolickiej parafii o. Mikołaja Susa - we współpracy ze zgromadzeniem sióstr Rodziny Maryi - w miejscu, gdzie znajduje się źródło, wybudowano kaplicę. W dniu 30 września 2006 roku poświęcił ją biskup Leon Mały ze Lwowa, przy udziale biskupa Leona Dubrawskiego z Kamieńca Podolskiego oraz księży z archidiecezji lwowskiej, z diecezji kamienieckiej i księży obrządku grekokatolickiego. Przybyły siostry ze zgromadzenia Rodziny Maryi oraz grupa wiernych parafii katedralnej w Kamieńcu Podolskim. Uroczystość zgromadziła rzesze miejscowej ludności obrządku grekokatolickiego, nie tylko z Dźwiniaczki, ale



z okolicznych wiosek: Mielnica Podolska, Iwani Puste, Michałówka, Kudryńce i inne. Cała wioska przygotowała się i uстроiła jak na wielkie święto.

Ksiądz proboszcz Mikołaj wręczając biskupowi Leonowi krzyż i klucz od kapliczki serdecznie powitał i poprosił o przewodniczenie uroczystości. Miejscowe dziewczęta wystąpiły z programem o bł. Zygmuncie. Nastąpił obrzęd poświęcenia źródła i Msza św. Eucharystię wspólnie z biskupami koncelebrowali kapłani obu obrządków; język ukraiński przeplatał się z językiem polskim. W homilii biskup Leon Mały ukazał życie bł. Zygmunta Sz. Felińskiego ze szczególnym uwzględnieniem ostatniego etapu, jakim był pobyt w Dźwiniaczce. Dziękował dawnym mieszkańcom wioski za tak otwarte przyjęcie Biskupa-Zesłańca, a obecnym za przechowaną pamięć, za świadectwo wiary i otwarte serce dla przyjeżdżających do tego miejsca. W czasie Mszy św. wszyscy stanowili jedną wspólnotę wiary i modlitwy, miejscowa ludność śpiewała swoje pieśni, a po uroczystości długo jeszcze została na miejscu. Rozdawano folderki

o bł. Zygmuncie Szczęsnym. Ludzie podejmowali rozmowy, zapraszali „приїжайте до нас ще”!

Uroczystość w Dźwiniaczce pokazała, że możliwa jest wspólna modlitwa dwóch narodów, dwóch obrządków, w dwóch językach. Doświadczaliśmy, że Kościół rzeczywiście oddycha obydwojma płucami, że w tym jest jego wielkość i bogactwo. Zgromadził wszystkich odsunięty kiedyś od biskupich obowiązków bł. Zygmunt Szczęsny Feliński - pokorny za życia, pochylający się nad człowiekiem niezależnie od jego narodowości, zatroskany o sprawę Kościoła, po śmierci jednoczący tych, którzy chcą iść za Chrystusem, czy to w zachodnim, czy wschodnim obrządku.

Dźwiniaczka leży na trasie Borszczów – Żwaniec. Po wodę ze źródła przychodzą nie tylko mieszkańcy wioski, wstępują też przejeżdżający trasą kierowcy ciężarówek. Może zjechać tam każdy i z wiarą we wstawiennictwo bł. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego zaczerpnąć ze źródła modląc się do Boga w swoich intencjach.



Jak rozmawiać o homoseksualizmie?

Próba polemiki ze środowiskami gejowskimi

kl. Krzysztof Mierzejewski

Do niedawna homoseksualizm był tematem wstydlivym i poruszanym wyłącznie w podręcznikach psychiatrii. Sami homoseksualiści, odrzuceni przez społeczeństwo, prowadzili podziemne życie, niejednokrotnie piętnowane przez prawo i policję. Nietolerancja wobec ludzi o takich skłonnościach, powszechnie znana wśród nazistów, doprowadziła do masowej eksterminacji osób homoseksualnych w obozach koncentracyjnych.

Obecnie homoseksualizm stał się problemem głośnym i szeroko dyskutowanym. Coraz bardziej powszechny dyktat mniejszości, także seksualnej, wysuwa różne sposoby argumentowania słuszności i poprawności orientacji homoseksualnej. Wykorzystuje przy tym pełną gamę argumentów, od rzeczowych do ściśle propagandowych, co prowadzi do konfrontacji powszechnie przyjętych systemów moralnych z nową ideologią mającą na celu ideowe zrównanie związków homoseksualnych z tradycyjnym związkiem kobiety i mężczyzny, znanym wszystkim społeczeństwom od zarania dziejów.

Ponad wszelką wątpliwość wysunąć można stwierdzenie, że homoseksualizm stał się zjawiskiem społecznym i to nawet nie tyle po-

przez zwiększające się szeregi osób homoseksualnych, jak by chciały twierdzić niektóre organizacje, co raczej przez szeroką debatę medialną i polityczną.

Homini non odi, sed eius vitia

Zanim przystąpimy do polemiki z roszczeniami środowisk gejowskich, musimy poczynić kilka zastrzeżeń. Po pierwsze, nie zgadzając się na wszelkie praktyki mające charakter homoseksualny Kościół nie potępia osób homoseksualnych. „Homini non odi, sed eius vitia” (nienawidzę nie człowieka, lecz jego wady). Kościół zawsze stał na stanowisku miłowania człowieka przy jednoczesnym braku tolerancji dla jego grzechu. I tak: sama skłonność homoseksualna nie podlega ocenie moralnej, podczas gdy wszelkie czyny homoseksualne są moralnie niedopuszczalne. Ponadto Kościół prosi swych członków, aby otoczyli takie osoby duchową troską i z należytą delikatnością pomagali im w dźwiganiu krzyża codzienności (por. KKK 2358).

Po drugie, istnieje zasadnicza różnica między osobą homoseksualną a gejem czy lesbij-

ką. Samo słowo „gej” (z języka angielskiego: miły, wesoły), jest nacechowane pozytywnie już od strony semantycznej. Gej akceptuje swój homoseksualizm i nie ukrywa go przed środowiskiem, w jakim się znajduje, wręcz przeciwnie – często go manifestuje. Najczęściej taki człowiek identyfikuje się z grupą społeczną tworzoną przez gejów, co w praktyce niesie ze sobą spędzanie czasu w środowisku gejowskim oraz wyraźne podkreślanie różnicy pomiędzy gejami a resztą społeczeństwa. Gej deklaruje wręcz zadowolenie ze swojej sytuacji i subkultury, którą tworzy. Osoby homoseksualne w odróżnieniu od gejów mają świadomość własnej orientacji, ale odbierają ją negatywnie. Jest ona dla nich często powodem cierpienia i gdyby mogli wybierać – woleliby być heteroseksualni. Zazwyczaj tacy ludzie nie przyznają się do swojej orientacji, nie identyfikują się z innymi homoseksualistami a nawet ich unikają, nie tworzą zatem grup ani organizacji poza ewentualnymi grupami wsparcia, które jednak mają charakter wyłącznie terapeutyczny i funkcjonują według ściśle określonych zasad. Nie można zatem mówić o takich osobach jako o jakiejś subkulturze czy ruchu. Osoby te bądź nie akceptują swojej orientacji, bądź też potrafią ją zaakceptować, ale nie chcą jej ujawniać czy realizować poprzez kontakty seksualne. Nie akceptują także subkultury gejowskiej. Dzieje się tak najczęściej z pobudek religijnych. Homoseksualizm jest dla tych ludzi rodzajem krzyża, słabością danej jako element życia, jako coś, z czym trzeba się nieustannie zmagać.

Różne ujęcia problemu

W rzeczowej dyskusji z argumentami etyki liberalnej promującej homoseksualizm oraz postulującej zrównanie związków homoseksualnych z małżeństwem pojmowanym tradycyjnie, fundamentalne znaczenie mają poczynione wcześniej założenia. Dyskusja prowadząca do usankcjonowania związków osób tej samej płci jest tylko szczytem góry lodowej wyrosłej na kanwie dwóch zupełnie odmiennych koncepcji genezy homoseksualizmu.

Środowiska gejowskie stoją na straży koncepcji biologiczno-genetycznej, która choć szeroko krytykowana i odrzucana przez rzetelne środowiska naukowe, cieszy się niegasnącą sławą w popularnonaukowych wystąpieniach zwolenników równouprawnienia gejów. Środowiska konserwatywne przeciwstawiają jej koncepcję psychodynamiczną. Pozornie dyskusja ta wydaje się mieć niewiele wspólnego z prezentowanym tematem, ale jeśli głębiej staramy się zrozumieć problem okazuje się, iż rozumienie intencji, jakimi kierują się obie strony ma kluczowe znaczenie. I tak przyjąwszy do wiadomości, że homoseksualizm wywołany jest przez za-

burzenia genetyczne lub somatyczne, a więc niezależne od woli osoby ludzkiej i warunkowane przez samą naturę, nie możemy zmuszać takiej osoby do działania sprzecznego z tą naturą. Tak przedstawia się problem homoseksualizmu w szkołach, tak jest on przedstawiany w środowiskach przekazu, co więcej, takie modele funkcjonują na wyższych uczelniach o liberalnych inklinacjach (np. Wyższa Szkoła Psychologii Społecznej w Warszawie).

Jeżeli natomiast zakwestionujemy teorię biologiczno-genetyczną i zaczniemy szukać przyczyn homoseksualizmu w czynnikach psychodynamicznych, stwierdzimy tym samym, że homoseksualizm nie należy do natury osoby homoseksualnej, ale uznamy jej pociąg do osób tej samej płci za pewną przypadłość, wyuczenie nabyte na zasadzie imprintingu, co więcej – stwierdzimy, że taki homoseksualizm można uzdrawiać.

Do niedawna teorie biologiczne i genetyczne były w niektórych środowiskach traktowane jako najważniejsze teorie genezy homoseksualizmu. Badacze, którzy chcą wykazać, iż homoseksualizm jest cechą wrodzoną, poszukują czynnika odpowiedzialnego za występowanie tej skłonności w organicznej strukturze człowieka. Badanie te przebiegają dwukierunkowo: poszukuje się czynników genetycznych lub organicznych czynników prenatalnych.

Jeden z czołowych zwolenników teorii psychodynamicznej, zwanej także interakcyjną, psycholog amerykański, Richard Cohen, wyróżnia dziesięć czynników stanowiących główne przyczyny kształtowania się u mężczyzn i kobiet skłonności do osób tej samej płci. Są to dziedziczność, temperament, zranienia heteroemocjonalne, zranienia homoemocjonalne, zranienia ze strony rodzeństwa lub wynikłe z dynamiki rodziny, zranienia obrazu ciała, nadużycia seksualne, zranienia w relacjach z rówieśnikami i społeczne, zranienia kulturowe oraz inne, takie jak śmierć bliskiej osoby, rozwój rodziców, doświadczenia z okresu prenatalnego czy adopcja. Każdy z tych warunków autor omawia w swojej książce zatytułowanej „Wyjść na prostą. Rozumienie i uzdrawianie homoseksualizmu” wydanej przez WAM i Wydawnictwo „Światło-Życie”. Ze względu na ograniczone ramy niniejszego artykułu nie będą one w tym miejscu prezentowane.

Homofobia

Homofobia jest jednym z ulubionych słów probrukselskiej nowomowy. Obserwując relacje medialne z życia publicznego można by uznać, że właśnie homofobia jest jednym z największych problemów, z jakimi boryka się społeczeństwo polskie. Aby zrozumieć wyżej

przytoczony zarzut należy spojrzeć w szerszym kontekście na europejskie wzorce zachowań. Jedną z cech zachodniego postmodernizmu jest przesadne akcentowanie potrzeb wszelkich mniejszości, co szczególnie dotyczy w ostatnim czasie mniejszości seksualnych. Innym charakterystycznym rysem mentalności liberalnej Europy jest podkreślanie praw przy jednoczesnym zapomnianiu o obowiązkach czy szeroko rozumianej odpowiedzialności. Wiąże się to z wynaturzeniem pojęć takich jak wolność czy tolerancja.

Dopiero w tym szerokim kontekście można podjąć się próby zrozumienia zjawiska demonstracji przeciw homofobii, kampanii medialnych promujących związki homoseksualne czy w końcu ostrej reakcji Parlamentu Europejskiego na odmowną odpowiedź prezydentów Warszawy i Poznania w związku z paradą gejów i lesbijek, która i tak przeszła ulicami tych miast.

Zanim przystąpimy do dyskusji z argumentami środowisk liberalnych (co ciekawe, nawet jeśli przyjąć najbardziej pesymistyczną diagnozę, mówiąc, że około 5% społeczeństwa stanowią homoseksualiści, to środowiska liberalne, które będą chciały bronić tzw. praw mniejszości seksualnych będą stanowić znacznie większą grupę ludzi; przyczyn takiego zjawiska należy szukać przede wszystkim w wyżej wspomnianej mentalności postmodernizmu) musimy mieć dostęp do informacji niedostępnych w mediach liberalnych. Trudno tu dokonywać oceny publikatorów. Niektóre nie podają pewnych rażących informacji, ponieważ same są zaangażowane w propagandę progejowską, inne po prostu nie chcą wychodzić poza ramy tzw. politycznej poprawności. Stąd rodzi się pilna potrzeba śledzenia informacji podawanych przez niezależne media katolickie. Przykładem takiej informacji, która była nie na rękę poprawnym politycznie mediom, jest skandal wywołany w jednym z polskich miast przez grupę osób, które miały przeprowadzić kampanię przeciwko AIDS w gimnazjach tego miasta. Wśród treści przekazywanych młodzieży znalazły się takie, które podane do publicznej wiadomości mogłyby wywołać powszechną niechęć do środowisk gejowskich (chodzi o szczegółowy instruktaż dotyczący odbywania stosunków homoseksualnych w taki sposób, by uniknąć zakażenia wirusem HIV). Podejrzenia rodziców i pedagogów wzbudził warunek osób prowadzących zajęcia, który zakazywał dorosłym wstępu na sesje szkoleniowe.

Niebezpieczeństwo propagandy progejowskiej jest wielorakie. Po pierwsze powoduje ona zmianę mentalności. Wielu katolików, może poprzez małe związanie z Kościołem, ale niewątpliwie dzięki tej propagandzie, opowiada się za prawnym usankcjonowaniem związków ho-

moseksualnych. Po drugie, propaganda progejowska może mieć silny, destrukcyjny wpływ na ludzi młodych, którzy poszukują wzorców zachowań, nie są utwierdzeni w swojej identyfikacji z własną płcią i sami mogą ugrzęznąć w homoseksualizmie.

Co jednak odpowiedzieć na wyżej postawiony zarzut? Po pierwsze, należy stwierdzić, że to, co nazywane jest homofobią jest tak naprawdę zdrową reakcją społeczeństwa na odbiegające od normy zachowanie, jakim niewątpliwie jest zachowanie homoseksualne. Eskalacja nienawiści wobec osób homoseksualnych jest mitem wymyślonym przez propagandę progejowską. Akty przemocy wobec osób homoseksualnych, nawet jeżeli występują, to mimo wszystko ich częstotliwość jest tak niewielka, że nie można absolutnie mówić o jakimś powszechnym zjawisku. Z całą pewnością nie można mówić o jakiegokolwiek dyskryminacji osób homoseksualnych ze strony państwa (płacą podatki takie same jak wszyscy inni obywatele, objęci są tą samą opieką zdrowotną i socjalną, mają dokładnie takie same prawa i obowiązki jak wszyscy Polacy) oraz ze strony Kościoła, który zawsze odróżnia grzech od grzesznika i podkreśla, że sam pociąg homoseksualny nie podlega ocenie moralnej, co więcej nakazuje członkom Mistycznego Ciała otoczenie homoseksualnych braci i siostry szczególną troską i opieką.

„Małżeństwa” homoseksualne

Już sam termin: „małżeństwo homoseksualne” zakłada pewne przyzwolenie, zrównanie związku osób tej samej płci z tradycyjnie rozumianym małżeństwem. Argumentów za odrzuceniem postulatu równouprawnienia związków homoseksualnych z małżeństwem mężczyzny i kobiety jest wiele. Oto najważniejsze.

Fundamentem trwałości każdego związku jest dojrzałość partnerów. Tymczasem, według teorii psychodynamicznej genezy homoseksualizmu stanowi on poważną niedojrzałość osobowościową. Na tej podstawie należy stwierdzić, że osoba homoseksualna nie jest zdolna do stworzenia dojrzałej relacji.

W każdym małżeństwie sprawą kluczową jest wierność. I tutaj pojawia się problem. Zachowanie wierności, tak trudne w normalnym małżeństwie, jest wręcz niemożliwe w związku homoseksualnym. Do przyczyn niewierności, które można spotkać w przypadku heteroseksualnych małżonków dochodzą bowiem inne, jak choćby fakt poszukiwania w homoseksualnym partnerze swego zastrzyku męskości, zaspokajającego egzystencjalny głód męskości, który w żadnym związku homoseksualnym nie może być zaspokojony. Aktywni homoseksualiści mają wielu partnerów, nawet jednocześnie.

Bardzo często są to relacje krótkotrwałe, ograniczające się niejednokrotnie do jednorazowego spółkowania. Ze swojej natury związek homoseksualny pozbawiony jest elementu komplementarności. W takim związku osoba homoseksualna nigdy nie znajdzie swojego spełnienia, zawsze będzie skazana na szukanie coraz to nowych doznań z innymi partnerami.

Państwo bierze w opiekę małżeństwo mężczyzny i kobiety nie do końca bezinteresownie. Małżonkowie korzystają z pewnych przywilejów (ulgi podatkowe, możliwość wspólnego rozliczania się z Fiskusem, dziedziczenie, etc.) ponieważ odpłacają się niejako państwu wychowując nowych obywateli. Związek homoseksualny jest ze swojej natury takiej możliwości pozbawiony. Nie może wypełnić zobowiązań, które biorą na siebie małżonkowie, zatem nie powinien domagać się należnych im praw.

Możliwość adopcji dzieci przez osoby homoseksualne

Tu po raz kolejny należy wytoczyć argument niedojrzałości osób homoseksualnych. Homoseksualizm niesie ze sobą pewną formę egoizmu. W każdym przypadku adopcji dziecka przez heteroseksualnych rodziców najważniejsze dla sądu, jako organu decydującego o ewentualnej adopcji, jest dobro dziecka. Nawet rodzice heteroseksualni nie mają prawa do dziecka. W przypadku osób homoseksualnych dobro dziecka stoi pod wielkim znakiem zapytania, jeśli nie jest wprost niemożliwe. Nikt o zdrowych zmysłach nie kwestionuje dziś roli, jaką odgrywa w prawidłowym rozwoju dziecka obecność obojga rodziców. W takim ujęciu sprawa adopcji dzieci przez homoseksualnych „rodziców” jest wyrazem szeroko rozumianej nieodpowiedzialności i egoizmu albo po prostu zwy-

kłego braku rozsądku osób, które postulują takie rozwiązanie.

Dla wzmocnienia swego postulatu środowiska liberalne najczęściej przywołują obraz domów dziecka, które pękają w szwach. Dalej argumentują, że dziecko potrzebuje miłości i para homoseksualna mogłaby mu ją dać. Następnie przytaczają mankamenty procesu wychowania dzieci w domach dziecka, z którymi trudno się nie zgodzić. W takiej sytuacji pary homoseksualne prezentują się jako panaceum na problem społeczny, jakim jest spora liczba dzieci pozostawionych bez opieki rodziców. Jednak są to pozory. O adopcję dziecka ubiega się bardzo wiele małżeństw heteroseksualnych. Tendencja ta z całą pewnością wzrośnie ze względu na coraz większą ilość par, które z różnych względów nie mogą doczekać się potomstwa. Problemem nie jest więc brak zainteresowania adopcją ze strony bezpłodnych małżeństw, ale ciągnące się latami procesy o odebranie praw rodzicielskich biologicznym rodzicom dzieci przebywających w domach dziecka. Bez tego zaś adopcja jest niemożliwa.

Potrzeba czułości

Jak widać, dyskusja z postulatami liberalnej, progejowskiej polityki jest możliwa. Tych postulatów, z całą pewnością będzie przybywać. Stąd ludzie Kościoła winni jako pierwsi odczytywać je jako znaki czasu oraz poszukiwać sposobów obrony treści objawionej, także na drodze argumentacji czysto rozumowej, przyswajalnej dla myślącej części społeczeństwa, nawet najbardziej liberalnego pod względem moralnym i religijnym. Ewangelia nie ogranicza człowieka, a Kościół nie działa na jego niekorzyść. Naszym zadaniem jest umieć to wykazać.



kl. Gniwek Kamil

Pozwól kochać się Jezusowi

Bardzo często szukamy w swoim życiu ciszy, spokoju lub chwil samotności. Z nastaniem wieczoru wiele osób zasiada przed ekrany telewizorów lub komputerów, inni spędzają ten czas na rozmowie z bliskimi albo na czytaniu dobrej książki. Poza tym jest bardzo dużo innych sposobów spędzania wolnego czasu i dlatego teraz chciałbym przywołać tę grupkę osób, które oddają się wtedy modlitwie, poszukiwaniu Boga, ciszy, spokoju i odrobiny samotności.

Chcę zatrzymać się na pewnym sposobie modlitwy i podzielić się z wami - poszukującymi Chrystusa - moimi przeżyciami i refleksjami na temat najpiękniejszej, najuboższej i najbardziej ogałającej modlitwy, jaką jest adoracja Najświętszego Sakramentu. Ponadto zwracam się również do tych osób, które swój wolny czas spędza jak ci w wyżej wymienionych przykładach.

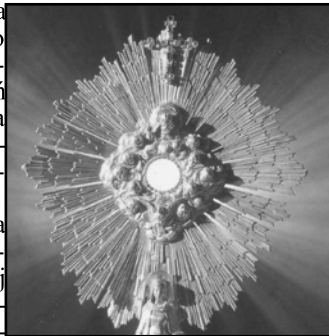
Będąc przed Przenajświętszym Sakra-

mentem stajemy wobec żywej i prawdziwej obecności Pana Jezusa. Pan Bóg obserwuje nas przez cały czas. W pewnym momencie postanawia nas oczyścić i wpuścić do swojego wnętrza gdzie panuje klauzura, która oddziela nas od ludzi, przeznaczając dla siebie. Dobrze obrazują to słowa księdza Jana Twardowskiego: „przecież tylko nieobecni są najbliżsi”. Problemem może okazać się bojaźń przed miłością Pana Jezusa, która jest najprawdziwsza i inna, ale jeżeli Go kocham Jego własną miłością, zostanie.

Wiara podczas spotkania z Chrystusem w modlitwie adoracyjnej jest najważniejsza, w niej bowiem dochodzi do jej pogłębienia. Ksiądz Jan Twardowski w jednym ze swoich wierszy napisał, że „nie udaje się wiara bez diabła i Boga”. Każdego z nas rozpoczynającego naukę modlitwy adoracyjnej opanowuje duża ilość tak zwanych rozprożeń. Niektóre prowadzą również do zaprzestania tej jakże pięknej „rozmowy w ciszy”. Oczywiście istnieje sposób na wyjście z męczących nas myśli. Jest on dobrze znany i dla wielu osób może się wydawać zbyt prosty, aby mógł w czymkolwiek pomóc, a szukając innych metod bardzo często się zawodzą. Tym sposobem jest wytrwałość, której możemy się uczyć za każdym razem, kiedy przystępujemy do modlitwy adoracyjnej. Z pewnością osoby, które trwają na adoracji miesiąc, rok lub więcej przechodziły albo przechodzą w dalszym ciągu przez próbę wiary nie możliwej bez diabła i Boga. Uświadamiając sobie istnienie tego „związku” w pierwszym momencie zauważamy, że to, co nam tak bardzo przeszkadzało staje się niezauważalne. Inaczej rzecz ujmując rodzi się w nas skupienie. Pokusa opuszczenia modlitwy nie jest tak silna jak wcześniej. Święta Teresa z Avila mówi, że „skupienie wewnętrzne nie zależy od naszej, jeno od Bożej woli i osiągnąć je

może ten tylko, komu Bóg zechce tej łaski użyć”.

Są takie dni, kiedy, podczas np. godzinnej adoracji w naszym parafialnym kościele przez cały czas zmagamy się ze swoimi myślami, na siłę szukamy Pana Boga i Jego woli. Założmy, że taka walka trwa 59 minut i zbliża



się koniec czasu przeznaczonego na adorację Pana Jezusa, powoli odchodzimy odczuwając pewną ulgę. Jak wiemy godzina ma 60 minut i Pan Bóg również o tym wie. Pozostająca ostatnia minuta okazuje się najważniejsza, właśnie wtedy On chce do Ciebie przyjść i powiedzieć Ci wszystko, bowiem tylko Jezus jest w stanie w ciągu jednej minuty doprowadzić Cię do uronienia jednej łzy zmieniającej całe twoje życie.

Czujemy się zawstydzeni, zauważamy naszą małą wiarę i wszechwiedzę Pana Boga. Przez cały czas szukałeś Jezusa, a On Ci mówi w ostatniej chwili: „dlaczego mnie szukałeś, na mnie trzeba czasem poczekać”.

Pozwól Panu Jezusowi patrzeć na siebie przez 59 minut i nic więcej nie rób. Pozwól kochać się Jezusowi przez ten czas, a na końcu w najmniej oczekiwanym momencie otrzymasz wszystkie owoce Jego miłości.

„ Myślisz - znowu się spóźniła
zaraz się obrażasz
marudzisz jak sikorka ta brzydsza bez czubka

kto miłości nie znalazł już jej nie odnajdzie
a kto na nią wciąż czeka nikogo nie kocha
martwi się jak wdzięczność że pamięć za krótka

miłość dawno przybiegła i ukłękła przy nas
spokojna bo szczęście porzuciła ciasne
spróbuj nie chcieć jej wcale
wtedy przyjdzie sama”

(Jan Twardowski „czekanie”)



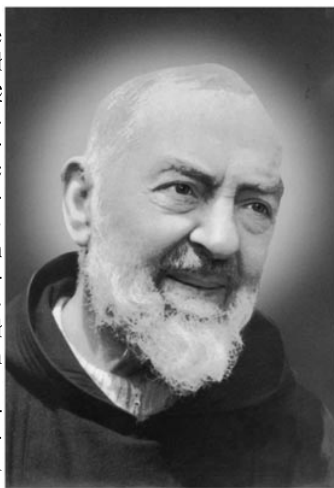
kl. Wojciech Baciór

Modlący się ubogi zakonnik

Na pytanie postawione niejednemu człowiekowi wierzącemu, czym jest modlitwa, możemy usłyszeć odpowiedź: modlitwa to rozmowa człowieka z Bogiem. Dobrze wiemy, jak wygląda rozmowa dwojga zaprzyjaźnionych osób. Jest ona przepełniona radością, zaufaniem, serdecznością. Z takim przyjacielem

można długie godziny przebywać, rozmawiać na różne tematy, zwierzać się ze swoich bolączek, szukać pocieszenia i wsparcia. Tak też powinna wyglądać rozmowa człowieka ze swoim Najlepszym Przyjacielem – Chrystusem. Wzór takiej „rozmowy” dostrzegamy u O. Pio, którego całe życie było przepojone nieustanną modlitwą.

O. Pio, kiedy był małym chłopcem i pasał stadko owiec na pastwiskach Pietrelciny wiązał dwie gałązki w kształt krzyża, wbijał go w ziemię i klęcząc, modlił się z dala od łobuzujących kolegów. Kiedy trochę podrośł, często zakrystianin zamykając na noc kościół zamykał w nim Francesca Forgione zatopionego w modlitwie przed Najświętszym Sakramentem. Potem biegł zmieszany do proboszcza, który łagodnie łąał Francesca i wysyłał do domu. Później jako kapłan w San Giovanni Rotondo przyciągał tysiące osób, które zapamiętały go, jako ubogiego zakonnika zatopionego w modlitwach przed ołtarzem.



O. Pio praktycznie każdą wolną chwilę, zarówno w dzień, jak i w nocy poświęcał trwaniu w bliskości Boga na modlitwie. Bracia, którzy go znali osobiście, potwierdzają, że O. Pio nie wypuszczał rąk z modlitwy. Często powtarzał, że „w książkach Boga szukamy, a na modlitwie Go znajdujemy. Modlitwa jest kluczem, który otwiera serce Boże”. Pograżony długie godziny na „rozmowie” z Bogiem, wypraszał potrzebne łaski dla innych ludzi: kapłanów, braci z zakonia, osób świeckich. Na serio potraktował słowa Jezusa: „Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam. Albowiem każdy, kto prosi, otrzymuje; kto szuka, znajduje; a kołaczącemu otworzą” (Mt 7, 7-8). Jego modlitwa miała wielką moc, gdyż połączona z cierpieniami wypraszała wiele łask nie tylko dla ludzi żywych, ale też dla dusz czyśćcowych. „Modłę się nieustannie - pisał do swego kierownika duchowego - i bardzo ubolewam nad tym, że czas tak szybko ucieka. Wciąż mi brakuje czasu na modlitwę”. O tym, że O. Pio bardzo dużo czasu poświęcał modlitwie świadczy podanie na życzenie ojca duchownego harmonogramu prywatnych spotkań z Bogiem. W czasie złej pory roku można go było znaleźć na modlitwie od około 4.30 do 9.30 rano, zaś codziennie we wszystkich porach roku od 22.45 do północy. To były stałe jego modlitwy, pozostałe zaś zależały od okoliczności. Wiele razy zastanawiano się, co stanowi o „tajemnicy” O. Pio ożywiającej całe jego życie, działanie i apostołstwo. Była nią niewątpliwie modlitwa, ciągły dialog z Chrystusem Ukrzyżowanym, z Matką Bożą, św. Franciszkiem oraz z Aniołem Stróżem.

Warto podkreślić, że O. Pio poświęcał codziennie mniej niż cztery godziny na medytację, odprawiał wiele nowenn, codziennie nie mniej niż pięć różańców, Drogę Krzyżową i wiele innych modlitw.

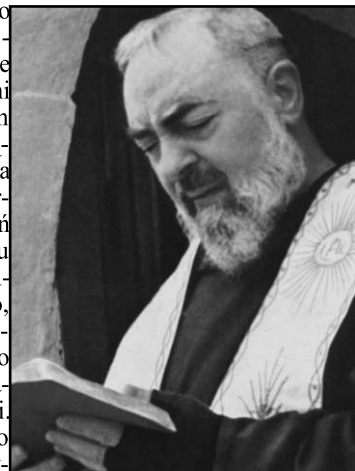
Wielką wagę kładł na modlitwę ustną, ale traktował ją jako element przejściowy, gdyż zalecał: „Módl się także ustnie skoro jeszcze nie nadszedł czas, by to opuścić i znoś z pokorą i cierpliwością trudności, jakich doświadczasz, czyniąc to”.

Stygmatyk radził także przyzwyczajać się do modlitwy myślniej. Sam codziennie medytował i to zazwyczaj nad narodzinami, nad życiem, męką i śmiercią Pana.

Jednak życie modlitewne Francesca Forgione nie pozostało na etapie modlitwy ustnej, czy nawet myślniej. Bóg widząc wielkie zaangażowanie zakonnika i miłość do modlitwy coraz bardziej przejmował inicjatywę i wprowadzał go w kontemplację.

Śledząc życie zakonnika z San Giovanni Rotondo można stwierdzić, że jego modlitwa dojrzewała wśród wielu trudności, pokus i wyrzeczeń. Ale mimo wielkiej wytrwałości i zaufaniu do Boga mógł cieszyć się owocami swej modlitwy. Dlatego do doświadczenia swojego życia, przenikniętego od najmłodszych lat modlitwą, często powtarzał: „Modlitwa jest chlebem duszy, oddechem serca, płodnym i długotrwałym spotkaniem z Bogiem”.

Tak więc mając taki wzór człowieka, który był nie tylko modlącym się człowiekiem, ale samą modlitwą, starajmy się go naśladować. Niech zachętą dla nas będą słowa Jana Pawła II:



„Modlitwa jest najmocniejszą i niezwykłą bronią wobec wszystkich niebezpieczeństw i pokus świata. Módlcie się, módlcie się, módlcie się; modlitwa jest kluczem do Bożego skarbcza; modlitwa jest bronią i tajemnicą zwycięstwa w każdej walce o dobro i przeciw złu”. Niech nie zrażają nas trudności, z jakimi się spotykamy na modlitwie. Bo warto pamiętać o tym, że rozmowa z przyjacielem nie ogranicza się tylko do przyjemności. Przyschozą i także trudności, i różnorodne próby. Podobnie jest z naszą „rozmową” z Jezusem. Ważne jest,

aby przejść ten trudny okres w naszym życiu i do końca pozostać wiernym swojemu Najwierniejszemu Przyjacielowi.



Eucharystia spotkaniem zakochanych

kl. Grzegorz Rupa

Było piękne letnie niedzielne popołudnie. Byłem w Ustrzykach Górnych na rekolekcjach Ruchu Apostolstwa Młodzieży. Przygotowywałem się właśnie do uczestnictwa we Mszy świętej, kiedy spostrzegłem biegnące do kościoła harcerki. W czasie Eucharystii zadawałem sobie pytanie skąd one tu przybyły, i gdzie mają obóz. Wyczekałem cierpliwie do



końca i po zakończonej liturgii wyszedłem szybko z zakrystii, aby zamienić kilka słów z druhnami. Rozmowa miło się potoczyła i już kilka minut później wiedziałem, co było powodem ich pośpiechu i jak wyglądała ich niedzielna przygoda. Wcześniej rano, po uzyskaniu informacji od gospodarzy z Wetliny, gdzie miały rozbiły namiot, że Eucharystia niedzielna w Wetlinie jest o 18:00, wyruszyły autostopem do Ustrzyk Górnych. Zakupiły bilet na szlak i przez Połoninę Caryńską powędrowały do Brzegów Górnych, podziwiając piękno stworzonego przez Boga świata. Stopem wróciły do Wetliny. Kiedy dotarły do kościoła okazało się, że Msza święta dobiega do końca. Zdziwione pytały księdza, czemu rozpoczął wcześniej o godzinę. Wyjaśnił im, że o tej porze jest zawsze w niedzielę Eucharystia. A zatem co robić? Po uzyskaniu informacji od kapłana, że jeszcze o 19:30 jest Msza w Ustrzykach, nie namyślając się długo, udały się autobusem w drogę, prawie 30 kilometrów. Zdążyły uczestniczyć w Eucharystii niedzielnej. A w moim sercu zrodziło się pytanie: jaki jest mój głód Chrystusa, jakie jest moje pragnienie spotkania z Oblubieńcem? Harcerki włożyły wiele wysiłku, aby w niedzielę uczestniczyć w Eucharystii, aby spotkać się z Przyjacielem. Ja natomiast mając zaledwie kilka kroków od kościoła nie musiałem aż tyle wysiłku wkładać w to, aby spotkać się z Chrystusem w czasie Wieczery. Jeśli coś wiele „kosztuje”, bardziej cieszy i raduje, gdy to osiągniemy. Wtedy zapragnąłem, aby zawsze droga do uczestnictwa

w Eucharystii wymagała ode mnie wielkiego wysiłku i trudu, bo wtedy będę umiał docenić ten dar.

Z człowiekiem zakochanym jest tak, że potrafi każdą wolną chwilę poświęcić dla ukochanej osoby, a nawet, gdy nie może się z nią spotkać, to nie przestaje o niej myśleć, wysyłać esemesy, czy dzwonić. Osoba zakochana potrafi wiele poświęcić dla swojej sympatii. Relację człowieka w stosunku do Boga można nazwać zakochaniem, tak przynajmniej powinna wyglądać. Dlaczego? Skoro Jezus jest Miłością, skoro oddaje nam całego siebie, poświęca dla nas swoje życie jest zatem naszą ukochaną Osobą. Jeśli naprawdę Go kocham, to nie ma takiej chwili, kiedy nie chciałbym się z Nim spotkać. Nie ma takiego czasu, kiedy nie myślałbym o Nim. Nie ma takiej chwili, kiedy nie wysłałbym do Niego esemesika. Tak przynajmniej powinno być. Niestety często tak nie jest. Jesteśmy w stanie wiele czasu poświęcić drobnostkom, sprawom drugorzędnym, aby tylko nie spotkać się z Chrystusem, aby zwolnić się z uczestnictwa w Eucharystii. Nawet jeśli uczestniczę w Niej to dlatego, że tak wypada. Dopiero na końcu naszej listy zajęć jest umieszczone spotkanie z Bogiem. A tymczasem powinno być odwrotnie.

Stan zakochania to tylko uczucia i jako takie uczucie może się zmieniać. Potrzeba, zatem w relacji z Bogiem czegoś głębszego, czegoś, co złączy nas z Nim na zawsze. Tym czymś jest miłość. Miłość bowiem to nie uczucie, ale to decyzja. Decyzja bycia z kimś drugim, bycia z Bogiem. Uczucia, bowiem mogą się zmieniać, ale raz podjęta dojrzała decyzja trwa. I mimo, że przychodzi czasem czas trudny, czas zubożenia, zniechęcenia, rozczarowania trwamy przy ukochanej osobie. Prawdziwie kochający się ludzie potrafią sobie wszystko wybaczyć. Prawdziwa miłość zdolna jest do wielkich czynów. Podobnie jest w relacji człowieka z Bogiem. Miłość Boga do nas jest tak ogromna, że jeśli tylko pragniemy On nam wszystko wybacza, oddał przecież za nas swoje życie. Nikomu nie wyrządził żadnej krzywdy. Pojawia się zatem pytanie czy my w tej relacji z Bogiem możemy Mu coś wybaczyć? Skoro nie zrobił nam krzywdy, nie ma co wybaczać. Wybaczyć trzeba jednak innym ludziom i sobie, bo miłość do Boga wyraża się w miłości do bliźniego, z którym On się utożsamia i miłości do siebie samego.

Eucharystia jest spotkaniem miłości, spotkaniem zakochanych. Jest miłosnym spo-

tkaniem Boga i człowieka. Osoby zakochane chcą się coraz bardziej poznawać, chcą znać swoje pragnienia, swoje życie. Aby się poznać muszą ze sobą rozmawiać, muszą o sobie opowiadać, muszą się nawzajem słuchać. Podobnie dzieje się w relacji człowieka z Bogiem. Bóg chce z człowiekiem rozmawiać i chce go słuchać. Chce, aby człowiek Go poznał i chce, aby mu o sobie opowiedział, mimo że jest wszechwiedzący. Taka rozmowa dokonuje się we Mszy świętej w czasie Liturgii Słowa. Poprzez czytane fragmenty Biblii mówi do nas sam Bóg. Mówi o Sobie, daje się nam poznać. Mówi nam o swojej dobroci i ukazuje, jak poprzez wielki



realizuje plan zbawienia człowieka. Mówi, że jego miłość jest tak wielka, że ofiarowuje dla nas swojego Syna. Mówi także o nas, o naszym życiu, o tym, kim jesteśmy, jacy jesteśmy, jacy powinniśmy być. Podstawą dobrych relacji międzysobowych jest słuchanie drugiej osoby. Podobnie jest w relacji z Bogiem. Aby były one dobre i owocowały w naszym życiu musimy Boga słuchać, potrzeba na to ciszy, nie może się to dokonać w hałasie. W ciszy nie tylko zewnętrznej, ale także wewnętrznej, trzeba Boga słuchać całym sobą, całym sercem. Nie wystarczy słuchać, trzeba realizować to, co jest jego wolą. Trzeba na to usłyszane słowo odpowiedzieć. Odpowiedzią na usłyszane słowa jest jeszcze większa miłość. Ta miłość wyraża się poprzez wiarę, którą wyznajemy, że Chrystus jest naszym jedynym Panem i Zbawicielem, a także poprzez modlitwę za cały świat i każdego człowieka.

Zakochani, jeśli odkrywają, że łączy ich coś więcej niż uczucie, jeśli chcą być ze sobą na zawsze, wchodzą na drogę, która wiedzie ich do sakramentu małżeństwa. Małżonkowie chrześcijańscy, są obrazem miłości Chrystusa do Kościoła, obrazem miłości Boga do człowieka. Małżonkowie stają się jednym ciałem i najpełniej w ten sposób wyrażają jedność, jaka dokonuje się między Bogiem a człowiekiem. W drugiej części Mszy świętej, czyli Liturgii Eucharystii ta jedność, jaka zachodzi między małżonkami zachodzi między Chrystusem a człowiekiem. Poprzez Komunię świętą Chrystus staje się jednym ciałem z człowiekiem. Przycho-

dzi do naszego serca, przenika nas całych, nasze ciało i naszą duszę. Zanim jednak dojdzie do tego zjednoczenia następuje pocałunek miłości, znak pokoju, który wyraża prawdziwą bliskość Boga przez bliskość z drugim człowiekiem. W jednym z numerów tygodnika Niedziela, w artykule „Gadu gadu z księdzem” jest opisana historia najpiękniejszego pocałunku, świadectwo autora. „Pocałunki mogą być przecież takie piękne. Niedawno widziałem najpiękniejszy pocałunek w życiu. Zostałem wezwany z sakramentem chorych do umierającej kobiety. Miałem ze sobą Najświętszy Sakrament. Okazało się, że ta kobieta nie może już nic połykać. Rak zaatakował cały przewód pokarmowy. Cóż, odniosę Pana Jezusa do kaplicy – powiedziałem do męża. Ten podjął szybką decyzję. Poprosił o spowiedź, przyjął Komunię świętą i trzymając ją w buzi, zapytał, czy może teraz pocałować żonę, aby w ten sposób i ona przyjęła Jezusa. I pocałował ją z Jezusem w ustach i ze łzami w oczach. Zaraz potem ta kobieta umarła. To był dopiero piękny pocałunek.” Właśnie poprzez Komunię świętą dochodzi do najbardziej intymnego spotkania człowieka z Bogiem.

Miłość małżeńska nie zamyka się tylko w relacji dwóch osób. Jest ona tak wielka, że nie ogranicza się tylko w sobie, ale chce się dzielić z innymi. Realizuje się to między innymi poprzez to, że małżonkowie w miłości przyjmują Boży dar jakim jest dziecko. Chcą promieniować tym czego sami doświadczali. Podobnie jest z miłością Boga do człowieka i człowieka do Boga. Nie może się ona zamknąć tylko w tej relacji. Musi otwierać się na innych ludzi, bo nie byłaby prawdziwą miłością. Człowiek po spotkaniu z Bogiem na Eucharystii idzie w codzienne obowiązki, i tam ma promieniować miłością. Posłanie Chrystusa na końcu Mszy świętej jest wezwaniem, a nawet nakazem dzielenia się miłością. Chrystus mówi nam: doświadczyłeś miłości Mojej, idź podziel się nią z innymi, zapal w innych miłość do Mnie. Prawdziwa miłość dzieli się nie tracąc z siebie niczego, a nawet poprzez podział staje się jeszcze większa. Paradoks, ale tak jest.

Miłość jednak nie jest czymś łatwym.

To tylko tak się człowiekowi wydaje, że miłość to przyjemność. Miłość wymaga wielkiego poświęcenia, ofiary. Chrystus dokonał wielkiej ofiary. Złożył na ołtarzu miłości samego siebie. Symbolem, znakiem Jego miłości jest krzyż. Znakiem Jego miłości jest Eucharystia. Podobnie bywa w życiu człowieka, który kocha. Czasem ta miłość rani tych, którzy kochają. Może być zdradzona przez osobę obdarzoną miłością. Jedna miłość jest



natomiast pewna, stuprocentowa. Możemy być pewni, że nigdy nie zostanie zdradzona. Jest to miłość Boga do człowieka. Jeśli człowiek oprze swoje życie na tej miłości, nie zostanie zdradzony, ale nie może liczyć na to, że będzie ona sielankowa. Będzie bowiem wymagała ofiary.

Jak mogliśmy zauważyć spotkanie z Chrystusem w Eucharystii można porównać do relacji międzyludzkich, relacji zakochanych, małżonków. W Eucharystii bowiem realizuje się dialog, następuje pełne zjednoczenie. Zawarta jest także ofiara miłości i w końcu dzielenie się

tą miłością z innymi. Jeśli tak będziemy podchodzić do przeżywania Ofiary Pana stanie się Ona naprawdę owocna w naszym życiu. Droga do takiego przeżywania nie jest łatwa, wymaga wiele wysiłku z naszej strony, ale możemy mieć pewność, że na jej końcu czeka na nas Chrystus. Nie tylko na jej końcu, ale jest z nami w czasie tej drogi. Ja na nią wyruszyłem i chcę ją kroczyć choć często upadam. Jeśli chcesz możesz do mnie dołączyć, możemy iść razem. Nie obiecuję łatwej drogi. Zapewniam Cię tylko, że ja idę.



kl. Marek Kapłon

Eucharystia w moim życiu

Od momentu, gdy zostałem ministrantem w wieku 10 lat, Msza święta była dla mnie zawsze czymś ważnym. Bardzo lubiłem w niej uczestniczyć w dzień powszedni rano lub wieczorem, gdy nie było tłumów, a ludzie przychodzili raczej z potrzeby serca. Piękne i pociągające było również to, że księża w mojej parafii zasadniczo odprawiali Mszę świętą pobożnie i bez pośpiechu. Pozwalało mi to wejść w jej klimat, a tym bardziej doświadczyć jej jako misterium – wielkiej tajemnicy. Nic zatem dziwnego, że pod wpływem takich przeżyć łatwo mi było odkryć w sobie powołanie kapłańskie.

W seminarium na początku Msza święta rodziła we mnie, oprócz przeżycia duchowego, zainteresowanie czynnościami liturgicznymi, śpiewem, postawą i zaangażowaniem kolegów. Powoli jednak próbowałem odkrywać jej głębię. Zobaczyłem, że ważne jest nie tylko to, że przystępuję do Komunii świętej, ale także to, że uczestniczę w jakimś misterium, którego jednak nie jestem w stanie do końca pojąć. Mieszkając po III roku poza całą wspólnotą seminarijną, korzystałem z niewielkiego kościoła, w Sanktuarium Matki Bożej Pięknej Miłości w Polańczyku, gdzie nawet zewnętrzna bliskość ołtarza ukierunkowywała mnie na bliskość z Jezusem i Maryją w jej cudownym wizerunku. W każdej Eucharystii mogłem zawierzać Jezusowi kolejny dzień praktyki, wszystkie trudności, słabości, bóle i zranienia, które się przede mną ujawniały. Łatwiej było mi podjąć zmaganie się ze sobą ze świadomością, że włączam to wszystko w ofiarę Jezusa, że na tej drodze nie jestem sam.

Chyba od samego początku przywiązywałem dużą wagę do przygotowania do Eucharystii, choć koncentrowało się ono głównie na

przeżywaniu poprzedzającej ją medytacji. Lubilem też chwile po Mszy świętej, kiedy trwałem w dziękczynieniu za to, że ten Jezus, który umiera za mnie w każdej Ofierze eucharystycznej, jest zmartwychwstały i żywy w moim sercu i idzie ze mną przez kolejny dzień życia. Oczywiście, nie zawsze było tak wspaniale i cudownie. Przychodziły chwile znużenia, senności, a nawet znudzenia codzienną Mszą świętą („codziennie to samo...”). Przypominałem sobie jednak wtedy słowa ojca duchownego, aby w takich chwilach brać na medytację teksty mszalne, aby śledzić je podczas Eucharystii, aby rozemnać, czy przypadkiem nie słabnie moja wiara i miłość do Jezusa, aby też przyznać się do słabości i uznać, że własnym wysiłkiem nie jestem w stanie dobrze przeżywać Mszy świętej, że jest to łaska, o którą mam prosić i na którą mam otwierać swoje serce. Wspierało mnie też zapewnienie, że w życiu kapłańskim przyjdzie taki czas, kiedy Eucharystia nie będzie mnie tak angażować uczuciowo, emocjonalnie, a mimo to mam trwać i być jej wierny. Na razie jednak wzrasta we mnie pragnienie, aby nadszedł wreszcie ten moment, kiedy będę mógł sprawować Pamiątkę Pana.

Bardzo ceniłem sobie również modlitwę adoracyjną przed wystawionym Najświętszym Sakramentem. Jestem wdzięczny seminarium, że nauczyło mnie tej formy modlitwy i zachęca do wiernego jej praktykowania. Cieszę się, że mimo trudności nie zrezygnowałem z niej, chociaż niekiedy trochę ją jednak zaniedbywałem. Adoracja pozwalała mi stanąć przed Jezusem w prawdzie o sobie. Doświadczam, że On patrzy na mnie zupełnie inaczej niż ja na siebie lub inni na mnie. On spogląda na mnie z wielką akceptacją, bez zniechęcenia, zniecierpliwienia. Ta for-

ma modlitwy pomaga mi wyzbywać się skupiania się na sobie, kręcenia się wokół siebie. Dzięki adoracji doświadczam, że Jezus jest tu najważniejszy, że On jest w centrum tej kaplicy, tego seminarium, mojego serca i mojego życia. W Jego obecności czuję się bezpieczny ze swymi niepokojami dotyczącymi życia, zdatności do kapłaństwa, a jednocześnie mogę doświadczać, że przed Nim nie mam nic do ukrycia, że On zna moje serce.

W głębszym podejściu do Eucharystii bardzo pomogła mi osoba Karola de Foucauld i jego świadectwo życia. Mój przyjaciel był zafascynowany tą postacią i tą fascynacją ze mną się podzielił. Wtedy właśnie zetknąłem się z książkami o Bracie Karolu. Czytałem je z zaciekawieniem i z podziwem dla życia oraz rozwoju wiary Karola de Foucauld. Przypuszczam, że lektura ta miała wpływ na moje umiłowanie adoracji, ale wtedy jeszcze brat Karol nie inspirował tak bardzo mojego życia. Zdziwiał mnie u brata Karola wielka wiara, że Jezus przez sprawowaną Eucharystię i przez obecność w tabernakulum w Najświętszym Sakramencie może uczynić więcej niż kapłani przez rozmaite wysiłki duszpasterskie i ewangelizacyjne. „Modląc się tam [na Górze Błogosławieństw] — pisał — będę nieskończenie więcej czynił dla ludzi przez sprawowanie Najświętszej Ofiary; będę pracować dla Niego przez postawienie tabernakulum, gdzie umieszczony Najświętszy Sakrament uświęci w ciszy okolice”. Brat Karol swoim życiem

i słowami ukazuje, że w posłudze ważna jest nie tyle zewnętrzna aktywność, ile raczej bycie blisko Jezusa, poznawanie Jego serca, a czynić to można przez przeżywanie Eucharystii i adorację. W jego pismach zawarte są konkretne wskazówki co do przeżywania Mszy świętej: do konsekracji — ofiarowywać Jezusa, ofiarowywać siebie Ojcu, polecać Mu swoje intencje, a także dziękować za krzyż Chrystusa i prosić Boga o przebaczenie za przyczynienie się do niego; od konsekracji do Komunii świętej — adorarować Jezusa na ołtarzu; po Komunii — adorarować Go w swoim sercu, dziękować, kochać, radować się i milczeć.

Wciąż uczę się przeżywania Eucharystii jako stawania z Jezusem na Golgocie w całkowitym ogołoceniu, a jednocześnie doświadczenia mocy Jego zmartwychwstania, bo to On wyprowadza mnie z grobu moich grzechów i niewierności oraz budzi nadzieję nowego życia.



Św. Bp. J. S. Pelczar o dziękczynieniu za dar komunii świętej

kl. Andrzej Dec

*Dziękujcie Panu bo jest dobry,
bo łaska Jego trwa na wieki*
(Ps 118,1),

Słowami tego psalmu można streścić wielki dar, dziękczynienie za Misterium jakim jest Najświętsza Eucharystia. Jest ofiarą dziękczynienia składaną Ojcu, uwielbieniem przez które Kościół wyraża Bogu swoją wdzięczność za wszystkie Jego dobrodziejstwa (...) Eucharystia oznacza przede wszystkim dziękczynienie (KKK 1360). Już samo nasze uczestnictwo w Eucharystii jest wielkim dziękczynieniem Bogu za dar zbawczej ofiary Syna. To Jezus przez Ducha Świętego zawiera nowe i wieczne przymierze, gromadząc wszystkich ludzi na nowo przy stole paschalnym. Ofiaruje On siebie jako Baranka za

grzechy całej ludzkości. Chcemy się jednak zająć szczególną chwilą, która jest przeznaczona na dziękczynienie. Ten element jest ważny w życiu każdego człowieka a tym bardziej kleryka czy kapłana. Szczególną uwagę chcemy zwrócić na to, w jaki sposób ten czas opisuje wielki święty przełomu wieków Józef Sebastian Pelczar. Głównymi pismami, z których zostały zaczerpnięte tutaj myśli są: Życie duchowe t. II oraz Rozmyślenia o życiu kapłańskim.

„Przyjawszy Komunię świętą (...) nie wychodź czym prędzej z kościoła, ale za tak wielki dar składaj Panu gorące dzięki”. Tymi słowami bp Pelczar mobilizuje nas do głębokiego zastanowienia się nad tym momentem. Szczególnie podkreśla, iż jest to tak samo ważny czas jak i wcześniejsze przygotowanie się do przyjęcia



Komunii św. Motywuje to w ten sposób: im większy jest dar, im większa miłość dawcy, tym większy jest obowiązek wdzięczności. Ten czas jest szczególny, te chwile spędzone po Komunii, jak mówią mistrzowie duchowi, akty cnót czynione po Komunii św. mają szczególną wartość z powodu ścisłego zjednoczenia duszy z Panem Jezusem. Sam Chrystus przychodzi do człowieka z Ciałem, Duszą i Bóstwem.

„Panie, nie jestem godzien abyś przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo a będzie uzdrowiona dusza moja” – tymi słowami wyraża się gotowość i godność przyjęcia Boga do swego serca. Jeśli zaś po przyjęciu Najważniejszego Gościa do swego serca nie dziękuje się, to działa się nierozumnie – jak pisze biskup. Przez brak takiego dziękczynienia traci się wiele owoców jakie przynosi ze sobą Komunia święta. Przez dziękczynienie za tak wielki dar odbiera się obfitość łask i pomnaża się swe zasługi. Przez jego brak zadaje się wielki ból i okazuje się wielką wzdargę Chrystusowi ukrytemu w Najświętszej Eucharystii. Święty biskup pisze, iż zaniedbując dziękczynienie po Komunii staje się człowiek winny wielkiej nieprzyzwoitości wobec Boga i naśladuje się zdrajcę Judasza – Pismo św. mówi, że Judasz po przyjęciu Komunii wyszedł. Jak pisze św. Jan Chryzostom: Ten przykład naśladują ci wszyscy, którzy odchodzą bez dziękczynienia.

Najlepszym czasem na dziękczynienie jest czas bezpośredni po Mszy św., bo wtedy, jak mówi



św. Teresa, znajduje się Pan w sercu jakby na tronie miłosierdzia i mówi: co chcesz abym ci uczynił?

Święty biskup podaje też sposób dziękczynienia po Komunii św. Spróbujemy go przedstawić w sposób dość zwięzły. Pierwszym gestem jaki powinno się wykonać to usunięcie się na miejsce samotne i trwanie tam na milczeniu. Potem trzeba się zastanowić z żywą wiarą, kto przyszedł do serca i złożyć głęboki pokłon. Bp Pelczar poleca aby wyobrazić sobie, że serce nasze jest stajenką betlejemską a człowiek jest pastuszkem, który



klęczy u stóp Dzieciątka Jezus. Najważniejszym jednak elementem i uczuciem, które powinno górować nad innymi jest miłość, którą trzeba wylewać w gorących aktach podziękowania i ofiarowania się. Ta miłość bez pomocy świętych jest trudna do zrealizowania. Pomocną jest modlitwa i zarazem pytanie: „O Jezzu najmiłościwszy, kiedyś przyjdzie ta godzina, w której jedynie ogniem twojej miłości będę płonąć Tobie na ofiarę? Kiedyż, o kiedyż, Miłości niestworzona?!”

Zakończeniem naszej modlitwy winno być dziękczynienie Matce Maryi, iż nakarmiła nas przez ręce Matki Kościoła Chlebem życia, oraz świętym i aniołom, którzy wspierali wstawieniem. Biskup zachęca, aby po powrocie do domu unikać roztargnień, okazji do grzechu, powrotu do zwyczajowych wad, przynajmniej w dzień przyjęcia Komunii św., a wszystkie prace i cierpienia ofiarować należy Panu za ten wielki dar Komunii.

Jezus Chrystus w Najświętszym Sakramencie – jak pisze biskup – jest naszym Ojcem, Matką, Przyjacielem, Pasterzem i Przewodnikiem, jest wzorem i twórcą życia czystego i całkowicie oddanego Bogu. Trudno jest nam słowami wyrazić wdzięczność za tak wielki dar jaki nam Jezus zostawił w Najświętszym Sakramencie ale tak jak potrafimy winniśmy być wdzięczni za to, iż został On z nami pod postacią małego, białego Chleba, który jest pokarmem na naszej drodze do zbawienia.

„Gdyby kto wiedział, czym jest Msza św. przestałby żyć”

św. Jan Vianney

Sługa Boża Anna Jenke



kl. Bartosz Gręda

Anna Jenke urodziła się 3 IV 1921 r. w Błażowej koło Rzeszowa. Było to miejsce pracy jej rodziców, ojciec był kierownikiem szkoły, a matka nauczycielką.



Rodzice Anny Jenke

15 V została ochrzczona w kościele parafialnym w Błażowej, na chrzcie św. otrzymała trzy imiona: Anna, Paulina, Maria. 1 Września 1927 r. rozpoczęła naukę w szkole powszechnej w Błażowej, niestety po miesiącu nauki musiała na stałe wyjechać z rodzicami do Jarosławia, gdzie kontynuowała naukę w szkole im. Bł. Kingi w Jarosławiu. Po ukończeniu czterech lat szkoły powszechnej, Anna rozpoczęła edukację w Gimnazjum Ogólnokształcącym w Jarosławiu prowadzonym przez siostry Niepokalanki, a w 1938 r. ukończyła zdaniem egzaminem dojrzałości 2-letnie liceum prowadzone również przez siostry Niepokalanki.

W 1937 r. złożyła przyrzeczenie harcerskie. W czasie wojny i okupacji była zaangażowana w konspirację. Wraz z innymi harcerkami nosiła pomoc jeńcom, rannym i ludziom poszkodowanym przez wojnę. Dla najbardziej potrzebujących i opuszczonych dzieci zorganizowała słynną w Jarosławiu akcję „kromka chleba”.

Od stycznia 1942 r. do lipca 1944 r. wzięła udział w tajnym nauczaniu jako nauczycielka w Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym w Jarosławiu.

Po wojnie w 1945 r. rozpoczęła studia na Uniwersytecie Jagiellońskim na Wydziale Humanistycznym, które ukończyła w 1950 r. uzyskując stopień magistra filologii polskiej. Zaraz po studiach we wrześniu rozpoczęła pracę w Liceum dla Wychowawczyń Przedszkoli w Jarosławiu jako nauczyciel języka polskiego. W latach od 11 X 56 r. do 31 VII 58 r. pracowała w Bibliotece Miejskiej na stanowisku kierownika.

Swoją pracę pedagogiczną w pełni rozwinęła dopiero w Liceum Sztuk Plastycznych (LSP) w Jarosławiu, którą rozpoczęła 1 IX 1958 r. - na początku przez dwa lata jako nauczycielka języka polskiego, a następnie jako dyrektor LSP. W 1962 r.

ze względu na zły stan zdrowia została zastępcą dyrektora szkoły. Anna była bardzo utalentowanym nauczycielem, potrafiła zainteresować uczniów przedmiotem, uczyła umiłowania polskiej literatury, a przy tym miłości, do krzywdzonej Ojczyzny. Uważała młodzież na prawdę, dobro i piękno. Sł. Boża chodziła codziennie przed lekcjami na Mszę Św. do kościoła.

Anna Jenke była przyjacielem młodzieży, można nawet powiedzieć, że była ich matką, martwiła się o nich, w razie choroby załatwiała wizytę u lekarza. Bardzo często zachęcała do modlitwy, podarowywała różaniec, czasem książeczkę do modlitwy. Sama wszystkie trudne sprawy szkoły, uczniów omadlała w swoim domu przed figurką Niepokalanej. Na co dzień żyła Ewangelią. Anna apostołowała książką, nawet docierała z nią do Jednostek Wojskowych. Sama miała ponad 1500 pozycji książkowych w swoim domu, które podarowała bibliotece parafialnej przy jarosławskiej Farze. Szczególną troską otaczała zaniedbaną młodzież i „dzieci ulicy”. Opiekowała się też chorymi, biednymi i samotnymi ludźmi. Wszystkim nosiła pomoc moralną i materialną. Odznaczała się głęboką wiarą i nieprzeciętną miłością Boga i bliźniego.

Niestety coraz bardziej zaczęło się pogarszać zdrowie Sł. Bożej, a w szczególności oczy, okulista stwierdził duży stopień krótkowzroczności obu oczu, a co za tym idzie ograniczenie pracy wzrokowej, w ciągu dwóch lat tak pogorszył się jej wzrok, że musiała zmniejszyć godziny pracy w szkole z ponad 20 do zaledwie 15 godzin tygodniowo. Mimo to bardzo ciężko pracowała ucząc i wychowując swoich uczniów, za co byli jej bardzo wdzięczni, ale nie tylko wychowankowie dostrzegali jej zapał i poświęcenie, także Wydział Kultury w Rzeszowie wielokrotnie przyznawał jej specjalny dodatek do pborów dla wybitnych pedagogów.

W maju 1970 r. choroba nowotworowa dała o sobie znać, Anna musiała iść do szpitala w Jarosławiu na zabieg. Jednak już po pięciu miesiącach rekonwalescencji wróciła do pracy w LSP.

W 1972 r. uchwałą Rady Państwa została odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi, oraz z Kuratorium Okręgu Szkolnego w Rzeszowie otrzymała tytuł Profesora szkoły średniej.

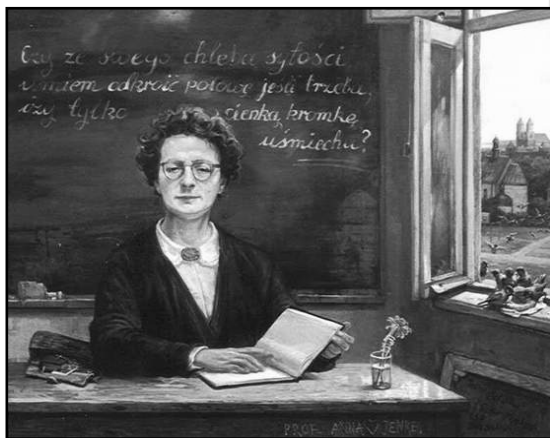


W listopadzie 1975r. musiała wyjechać na klinikę do Gliwic na onkologię, nawet wtedy była bardzo wrażliwa na ludzkie cierpienie. Odwiedzała chorych usługując im, przy okazji prosiła o modlitwę za swoje życie, bo odkryła, że żyje na Jego chwałę. To tutaj właśnie mawiano o niej: „To święta”. Na Boże Narodzenie w 1975 r. została wypisana ze szpitala, jako, że nie nadaje się do dalszego leczenia. W swoim domu w Jarosławiu miała zapewnioną opiekę lekarską, pielęgniarскую i duchową. Z Komunii Św. codziennie przychodził do niej kapłan z kolegiaty.

Anna zmarła zaopatrzona Sakramentami Św. 15 II 1976 r. w Jarosławiu z imieniem Jezus i Maryja na ustach. Przyczyną jej śmierci był nowotwór złośliwy - czerniak skóry. Pogrzeb odbył się przy udziale licznie zgromadzonych ludzi. Wzięło w nim udział miejscowe duchowieństwo, kapłani z Wyższego Seminarium Duchownego w Przemyślu z Rektorem na czele - ks. dr Stefanem Moskwą, siostry zakonne, najbliższa rodzina, młodzież z LSP i innych szkół jarosławskich, oraz rzesze wiernych z Jarosławia i okolic. Trumnę z doczesnymi szczątkami zmarłej wystawiono w kolegiacie, gdzie wierni mieli możliwość przy niej się modlić. Przed Mszą św. pogrzebową, młodzież z LSP pożegnała swoją profesorkę poezją ulubionych poetów zmarłej. Mszę św. celebrowało wielu kapłanów. Trasa konduktu pogrzebowego, który wyruszył po Eucharystii prowadziła ulicami miasta aż na Stary Cmentarz. Młodzież niosła trumnę na swoich ramionach, która spoczęła w rodzinnym grobowcu na Starym Cmentarzu w Jarosławiu, na którym widnieje napis: "Jezu ufam Tobie". Już po pogrzebie stwierdzono, że odszedł do wieczności, ktoś wyjątkowy, człowiek o szlachetnym sercu i wielkim umyśle. Anna jest wzorem nie tylko dla nauczycieli, ale także dla każdego świeckiego katolika, który na „serio” odczytuje Ewangelię. W wielkiej mierze spełniała oczekiwanie Soboru Watykańskiego II, który położył wielkie nadzieje w katolikach świeckich, a którzy mają swoje konkretne zadania do spełnienia w Kościele.

26 III 1993 r. Kuria Metropolitalna w Przemyślu, mając na uwadze powszechną opinię o świętości Anny staraniem ks. abp Ignacego Tokarczuka - ówczesnego Ordynariusza diecezji - rozpoczęła proces beatyfikacyjny na szczeblu diecezjalnym. Bezpośrednim przygotowaniem do rozpoczęcia procesu - w imieniu Ks. Arcybiskupa - zajął się Ks. Infułat dr Stanisław Zygarowicz z Przemyśla. W pierwszej kolejności został powołany i zaprzysiężony Trybunał Kościelny. W procesie, Trybunał przesłuchiwał świadków życia Śl. Bożej, którzy pod przysięgą zeznawali, co wiedzieli na temat życia Anny, ze szczególnym

uwzględnieniem jej życia duchowego. Na postulatorkę sprawy została powołana s. Bernadeta Lipian. W czasie trwania procesu, zgodnie z wymaganiami prawa kanonizacyjnego, przeprowadzono ekshumację doczesnych szczątków Sł. Bożej. Miało to miejsce 10 III 1997 r. przy udziale specjalnej



Portret Prof. Anny Jenke autorstwa
Teresy i Piotra Moskalskich

Komisji ze strony Kościoła, lekarzy i świadków pogrzebu. Doczesne szczątki, oczyszczone przez lekarzy, zakonserwowane, zostały złożone do trumienek i zalakowane, oraz przeniesione do krypty bocznej nawy kościoła św. Mikołaja (Opactwo Sióstr Benedyktynek) w Jarosławiu. Będą tam spoczywać aż do beatyfikacji. Zeznania świadków i część innych dokumentów zostały przetłumaczone na język włoski. Dokonała tego mgr Krystyna Kozak z Lublina.

W dniu 12 I 1999 r. w Rezydencji Arcybiskupów w Przemyślu, odbyła się ostatnia sesja zamykająca proces beatyfikacyjny Śl. Bożej Anny Jenke w diecezji. Zebraną dokumentację, w dwu zestawach i w dwu językach (polskim i włoskim) opieczetowano i zalakowano. Teczka z oryginałami pozostała w Kurii. Natomiast inne teki z dokumentami s. Bernadeta Lipian i Pani mgr Krystyna Kozak przewiozły je do Kongregacji Spraw Świętych w Watykanie.

Uroczystość zewnętrzna zakończenia procesu w diecezji miała miejsce 20 II 1999 r. w Jarosławiu. Na jej program złożyły się: Msza św. pod przewodnictwem Ks. Abp Ignacego Tokarczuka, sesja naukowa oraz program artystyczny, w wykonaniu dzieci i młodzieży. Należy czynić wszystko, by rozwijał się kult Śl. Bożej, by znajomość tej postaci rozposzczelniała się coraz bardziej i docierała wszędzie, gdzie jest to możliwe, gdyż jest to jakby „druga ścieżka procesu beatyfikacyjnego Anny Jenke”. I tą ścieżką powinni iść wszyscy „nagłaśniając” samą postać Anny Jenke, jej idee i działalność.



kl. Łukasz Sowa

Sługa Boży Ojciec Wenanty Katarzyniec, franciszkanin

Jeśli ktoś zetknął się już z postacią o. Wenantego Katarzyńca przyzna zapewne, że dzisiejszemu człowiekowi niełatwo jest zrozumieć tę postać. Z drugiej jednak strony może być przykładem nie tylko dla przygotowujących się do kapłaństwa, ale także dla każdego człowieka. I właśnie z tą myślą powstał ten artykuł.

Rys biograficzny.

Sługa Boży o. Wenanty Katarzyniec urodził się 7 października 1889 roku w Obydowie koło Lwowa. Pochodził z biednej chłopskiej rodziny. Jeszcze jako uczeń dorabiał na własne utrzymanie poprzez korepetycje. Po ukończeniu lwowskiego seminarium nauczycielskiego wstąpił do Zakonu Franciszkanów. Podczas jednych z wakacji poznał młodszego od siebie br. Maksymiliana Kolbe. Zaraz po święceniach kapłańskich, które otrzymał w Krakowie w 1914 r., rozpoczął pracę w klasztorze w Czyżkach pod Lwowem. Jego gorliwość nie uszła uwadze wiernych, którym służył z oddaniem szczególnie w konfesjonale i na ambonie. Po roku został we Lwowie mistrzem nowicjatu. Był też wykładowcą filozofii, łaciny i greki. Nie szczędził swych sił również poza klasztorem, głosząc konferencje i rekolekcje dla sióstr oraz spowiadając chorych w szpitalu onkologicznym. Swą pracę ponad siły wspierał nieustannie głęboką modlitwą. Z powodu gruźlicy, przepracowany, musiał wyjechać na wypoczynek najpierw do Hanaczowa, a potem do Kalwarii Pałacowskiej. Chory i wyczerpany zmarł 31 marca 1921 roku, mając zaledwie 32 lata. Jego ciało spoczywa w krużganku kościelnym w Kalwarii Pałacowskiej.

Życie.

Józef Katarzyniec (bo takie było świeckie imię o. Wenantego) już od najmłodszych lat szukał wypełnienia woli Boga. Wykazywał zainteresowanie i szczerą miłość do wiary katolickiej, która swą pełnię osiągnęła w miłości do kapłaństwa. Otrzymał zasadnicze, dwuletnie wykształcenie na jakim wielu jego rówieśników kończyło życiową edukację. Niezwykłe zdolności otworzyły mu drogę do pięcioklasowej szkoły powszechnej w Kamionce Strumiłowej, gdzie mieścił się kościół parafialny przy którym wkrótce został ministrantem. Do mszy świętej służył codziennie a wiązało się to z bardzo

wczesnym wstawaniem i pokonywaniem 4 km drogi, często bez śniadania. Z czasem mały Józek zaczął „odprawiać” nabożeństwa w domu na co uzyskał zgodę proboszcza, ze względu na ich budujący charakter. Ze względu na brak finansów nie mógł kontynuować nauki w gimnazjum, dlatego marzenia o kapłaństwie zostały odłożone na bok. Józef podjął naukę w szkole wydziałowej w Radziechowie i z wyróżnieniem ukończył seminarium nauczycielskie. Po maturze mimo dużego sprzeciwu rodziców wstąpił do zakonu franciszkanów we Lwowie. W nowicjacie odznaczał się zdolnościami, ale jednocześnie dużą skromnością i roztropnością. W codziennym życiu starał się realizować ideały życia zakonnego, wpajane nowicjuszom. W tym czasie napisał takie zdanie: „Wyłącznie tylko Bogu mam służyć, a wszystkie moje starania mają zmierzać do tego, aby Panu Bogu się przypodobać”. Rzeczywiście nie tracił czasu i spo-



sobności, obowiązki wykonywał starannie i dokładnie, rozwijał swe zdolności. Był stale tam, gdzie trzeba było pomóc, zastąpić innych, wykonać niemile zajęcie, spełniać obowiązki. Nie umiał odmawiać, a niczego nie robił połowicznie. Praca była dla niego warunkiem cnoty: „Pracować musimy i to nawet wiele, ale dla Boga. Ludzie znają pracę tylko dla siebie

lub dla bliźnich. Stąd liczne nieporozumienia”. Według kolegów trafił do zakonu już jako „wyrobiony człowiek”. W nowicjacie ostatecznie kształtowała się duchowość Józefa, który otrzymał imię Wenanty, na wzór męczennika. Oto kilka wypowiedzi o kleryku Wenantym: „Nigdy nie widziałem go rozszoszczonego ani kłóącego się. Nie zauważyłem też u niego zazdrości. Gdy mu się coś nie powiodło, cieszył się z upokorzenia”, „Wenanty nie starał się nigdy wyróżniać, a jednak się wyróżniał ponieważ dokładnie i sumiennie zachowywał wszystko, co z konieczności zwracało uwagę otoczenia”, „Na docinki, epitety niektórych kolegów, choćby były pod jego adresem powtarzane wiele razy i przez wiele miesięcy, brat Wenanty nie

reagował w ogóle i najmniejszym nawet gestem nie dawał po sobie poznać, że go to boli”. Był wzorem modlitwy i wyrzeczenia dla braci kleryckiej, a w późniejszym życiu także dla starszych ojców i przede wszystkim ludzi świeckich. Dlatego też kolejki przy jego konfesjonale były długie, a wystąpienia na ambonie częste. Wszyscy słuchali Jego kazań, co owocowało wzrostem gorliwości wiernych parafii w Czystkach. „Kazań jego - oświadczył pewien mężczyzna - słuchałem ze szczerą uwagą, bo były one jasne, praktyczne i głęboko wnikaające w duszę. Podobnie wszyscy zachowywali się wobec jego żywego słowa”. Słowo o. Wenantego było żywe, bo wiecznie oparte na Piśmie świętym,



które stanowiło dla niego znaczną podporę. Mawiał: „Kto się oddaje rozmyślaniu niełatwo zgrzeszy, a zgrzeszywszy natychmiast powstaje. Jest bowiem niepodobieństwem, aby ten, kto rozmyśla długo trwał w grzechu, lecz musi albo grzech, albo rozmyślanie porzucić.” Również Eucharystia i wielogodzinna Adoracja Najświętszego Sakramentu stanowiły nieodłączny element codzienności; „Jedna Komunia Święta zawiera dostateczną ilość łaski, aby sama przez się uczyniła nas świętymi, gdyby żarliwość nasza czerpała dość głęboko z tego niewyczerpanego źródła”.

Trudna sytuacja polityczna sprawiła, że wkrótce po święceniach został mianowany magistrem nowicjatu, a później także wychowawcą junioratu i uczniów gimnazjum franciszkańskiego. A oto jak postrzegali o. Wenantego jego podopieczni: „Wmawiał w nas więcej dobroci i cnoty aniżeli czuliśmy w sobie, w tejże chwili więc postanowiliśmy sobie konieczność odpowiedzieć temu niezasłużonemu zaufaniu”, „Tak to się jakoś wszystko ładnie zestroiło żeśmy naprawdę czuli się spokojni, bezpieczni i szczęśliwi, że każdy chyba ze słuchających przyłgnał do niego zupełnie. Nastroj ten wywołało w nas dobre kochające serce naszego, rozpoczynającego dopiero swą pracę nad nami magistra”. Gdy sytuacja na froncie uniemożliwiła klerykom lwowskim podjęcie dalszej formacji w Krakowie, o. Wenanty został mianowany wykładowcą filozofii, a neoprofesi mogli kontynuować edukację. Te liczne awanse młodego franciszkanina nie stały się

bynajmniej powodem pychy. Można rzec, że kolejno go udoskonalają. Swoim wychowankom powtarzał: „Miarą wielkości człowieka musi być coś takiego, co by go czyniło wielkim w oczach wszystkich: bogatych i ubogich, dobrych i złych, uczonych i prostaczków”. Jako magister, wychowawca i wykładowca cieszył się ogromnym szacunkiem kleryków (o czym świadczą liczne korespondencje wychowanków z umiłowanym ojcem i chwalebne wypowiedzi na jego temat). Jego wykłady były jasne, proste i przejrzyste, a postawa życia pełna szczerości i pokory stanowiła żywe źródło do naśladowania.

Ojciec Wenanty zawsze myślał o bliźnim. Jego posługa w konfesjonale, obowiązki wychowawcze, kaznodziejski i duszpasterskie oraz miłość do Chrystusa Ukrzyżowanego całkowicie przysłoniły mu siebie. Wszystko co czynił, czynił dla Boga mówiąc: „Im więcej Bóg nam okazuje dobroci, tym więcej cnoty być w nas powinno”. Dlatego bardzo dużo od siebie wymagał. Efektem tego była praca ponad siły i gruźlica, długo przez ojca ukrywana. Nie lubił zajmować innych sobą. Mimo świadomości choroby nadal pracował, jeszcze bardziej aktywnie, umartwiał ciało licznymi postami i modlitwą ponad siły. Gdy otrzymał nakaz troski o zdrowie, lepszego odżywiania uważał za niesprawiedliwe to, iż nie jest traktowany na równi z resztą współbraci. Wielokrotnie przeproszał współbraci za kłopoty, których przysparzała jego choroba. Mimo zakazu nadal spowiadał chorych w szpitalu onkologicznym. Mimo młodego wieku nie buntował się wobec postępującej choroby, często powtarzał: „Ufajmy w moc Bożą w nieszczęściach naszych; Bóg wielki i potężny czuwa nad nami i widzi nasze utrapienia”. Ta ofiarnicza postawa nie zmieniła się nawet u kresu życia w Kalwarii Pałacowskiej, gdzie został wysłany na podratowanie zdrowia. „W połowie marca 1921 o. Katarzyniec musiał zaprzestać odstawiania brewiarza, bo nie mógł go już utrzymać w rękach. Od tej chwili nie wypuścił z rąk różańca. Zachował jednak najzupełniejszy spokój i czekał z ufnością na śmierć”.

Postawa o. Wenantego w dzisiejszych czasach może wydawać się dziwna. Studiując jego biografię można natrafić na wiele sytuacji, w których jego postępowanie wypadłoby określić mianem lekkomyślnego, niewłaściwego, a nawet śmiesznego. Musimy jednak zdawać sobie sprawę, że żyjemy w czasach, które różnią się w aspekcie dziejowym, kulturowym i historycznym. Dlatego też nie chodzi o to, aby oceniać jego życie, lecz mimo pozornego konfliktu światopoglądowego, naśladować je. Przyjaciel o. Wenantego, Maksymilian Kolbe mówił o nim, że „rzeczy zwyczajne wykonywał w sposób nadzwyczajny.” Niech ta myśl posłuży nam za punkt wyjścia w refleksji nad naszym życiem.

Sanktuarium Matki Bożej Szkaplerznej w Łańcucie



kl. Łukasz Babiarz

W odległości 17 km od Rzeszowa leży piękna miejscowość - Łańcut, założona przez Kazimierza Wielkiego w 1349 r.

Na terenie miasta Łańcuta znajduje się piękny zabytkowy kościół parafialny, który został wybudowany w roku powstania miasta i parafii (1349 r.). Był to pierwszy kościół na tym terenie (p.w. św. Barbary), w którym administrowali OO. Dominikanie. W latach 1896-1900 został on gruntownie przebudowany i otrzymał nowy tytuł (p.w. św. Stanisława biskupa).

W kościele tym od dawna słyną łańskimi obraz Matki Bożej Szkaplerznej, który w 1701 r. uznano za cudowny. Obraz ten znajduje się w bocznym ołtarzu. Pochodzi z drugiej połowy XVII w., a w kościele łańcuckim jest od 1670 r. Sam obraz jest kopią cudownego obrazu Matki Bożej na Piasku w Krakowie i jest dziełem anonimowego malarza - zakonnika z zakonu OO. Karmelitów. Zakonnik - kwestarz sprzedał ten obraz w Łańcucie mieszczaninowi Krzysztofowi Ziemrzykowi, a ten w roku 1670 ofiarował go do kościoła. Nie jest znana data umieszczenia kopii obrazu w 1629 r. w kościele parafialnym w Łańcucie. Wiadomo, że w 1629 r. Stanisław Lubomirski zostawszy właścicielem miasta wypędził protestanckich predykantów a kościół oddał katolikom. Wedle tradycji zanotowanej przez o. Wacława Nowakowskiego, ob-

raz namalowany został przez jakiegoś utalentowanego karmelitę z Krakowa i ofiarowany Krzysztofowi Ziemrzykowi oraz z wielkim uszanowaniem zawieszony w jego mieszkaniu. Ziemrzyk postanowił przekazać Piaskowy wizerunek Bractwu Szkaplerza Świętego. Zdarzył się przypadek, że musiał dać on na noc kwaterę żołnierzom, którzy upojeni trunkiem, zaczęli się awanturować. Obraz zajaśniał wówczas niezwykłym światłem, a przerażeni wojsacy zamiast na pijatycę spędzili noc na modlitwie. Nazajutrz przeniesiono obraz uroczystie do kościoła. Miejscowa tradycja datuje sprowadzenie



obrazu na rok 1670. Można mieć pewne zastrzeżenia do talentu owego malarza - karmelity, nie mówiąc już o fatalnych późniejszych przemalówkach, ale podkreślić trzeba, że do dziś obraz otaczany jest czcią wiernych.

Ta cześć wyrażana jest szczególnie, w co czwartkowych nowennach ku czci Matki Bożej Szkaplerznej. Każdy czwartek w łańcuckiej Farze jest bowiem poświęcony Matce Bożej; już od porannej Mszy św. wierni przychodzą do kościoła, aby przed wystawionym Najświętszym Sakramentem polecać swoje prośby, dziękować i przepraszać. Dopiero w porze wieczornej (tj., o godz. 18.00) rozpoczyna się uroczysta nowenna do Matki Bożej Łańcuckiej, nazywanej najczęściej: „Mateńką”, „Matką” czy „Panią Łańcucką”. Nowenna kończy się Mszą świętą, po której wierni odśpiewują często pieśń:

*„Matko, coś u wód Wisłoka stanęła
Z Krakowa większą część kraju minęła
W łańcuckiej farze cudownie zjawiona,
Bądź od nas wszystkich mile pozdrowiona.”
„Bądź pozdrowiona w łańcuckim kościele,
Gdzie sługom swoim rozdajesz łask wiele,
Maryjo, Matko nasza ukochana,
Prowadź nas wszystkich do Chrystusa Pana.”*

We wrześniu 1993 roku J.E. Ks. Abp Ignacy Tokarczuk dokonał uroczystej koronacji cudownego obrazu.





Kł. Dariusz Gibała

Słów kilka o Matce Bożej Królowej Bieszczad w Jasieniu (Rudki)

We wsi Jasień położonej na trasie do Ustrzyk Górnych 4 km od Ustrzyk Dolnych znajduje się Kościół Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, a w niej cudowny obraz Matki Bożej znany pod nazwą Matki Bożej Bieszczadzkiej. Początkowo obraz ten znajdował się w małym miasteczku Rudki położonym obok Lwowa skąd przywędrował po drugiej wojnie światowej.

Posłuchajmy historii tego obrazu. W 1612 roku Tatarzy napadli na wieś Zeleźnicę na Podolu, gdzie spłądowali miejscowy Kościół pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny i podpalając puścili go z dymem. Wśród zgłiszcz cudownie ocalał obraz Matki Bożej na tablicy lipowej malowany, cudownie nienaruszony od ognia. Ten skarb drogi, dziedzic Rudek Jerzy Czuryło zabrał i umieścił w rudeckim kościele. Zaraz też wiadomość o tym cudzie rozeszła się po całej Ukrainie, zaczęły przybywać pielgrzymki, w przekonaniu iż wydarzył się cud. Obraz stał się drogocenną relikwią i przewieziono go w głąb kraju w obawie przed Tatarami.

Jednakże, gdy chciano wyruszyć z miejsca, konie się zatrzymały i za nic nie chciały ruszyć nawet smagane biczami. Dopatrywano się w tym wydarzeniu zjawiska nadprzyrodzonego, które odczytano, że woła Matki jest pozostać w tym Kościele. Kościół szybko stał się sanktuarium chętnie odwiedzanym przez wszystkie stany. Przybywali polscy monarchowie: król Jan Kazimierz, król Michał Korybut Wiśniowiecki, król Jan III Sobieski, którzy przywozili piękne wota z kamieni i metali szlachetnych. Obraz dość szybko zasłynął cudami i łaskami których nie sposób wymienić. Kościół był kilkakrotnie przez Tatarów palony, a nowy wybudowano w roku 1728. Dopiero w 1917 roku kapituła watykańska przychyliła się do

prośby o koronację cudownego wizerunku. Wypadki wojenne nie pozwoliły na koronację dnia 8 września 1920 roku, bo ziemię polską najechali Bolszewicy. Koronacja odbyła się jednak już 2 lipca 1921 roku, z rąk Koronatora J. E. ks. Biskupa Ordynariusza przemyskiego świętego Józefa Sebastiana Pelczara.

W czasie drugiej wojny światowej odbywały się coroczne odpusty upamiętniające dzień 2 lipca do roku 1941, potem z obawy przed NKWD i niemieckim najeźdźcą coraz mniej wiernych w nich uczestniczyło. Po zakończeniu wojny w 1945 roku Rudki stały się częścią ZSRR, dlatego też ks. A. Pasterczyk wywiozł do Polski większość pięknych wot, sam zaś obraz trafił w 1946 roku do naszego Seminarium. Został on rozpoznany przez alumna IV roku pochodzącego z Rudek, który pełnił obowiązki „kaplicznika”.

Cudowny obraz po oczyszczeniu został umieszczony w głównym ołtarzu kaplicy seminaryjnej. Po 4 latach wyszło na jaw, że obraz jest w stanie ruiny i nie da się go uratować, ale podjęto starania kosztownej restauracji i po żmudnych pracach odniesiono sukces. W 1954 roku wybudowano nową kaplicę, co było podyktowane rozrastającą się liczbą alumnów, w której umieszczono wizerunek. Formy czci miały charakter prywatny, tutaj polecali Matce Bożej różne sprawy, podejmowali ważne decyzje odnośnie powołania, wyprasali łaski na czas sesji egzaminacyjnej. Do gorących czcicieli Matki rudeckiej należeli księża przełożeni, a szczególnie ś. p. ks. rektor M. Jastrzębski, który często się tam modlił przed podjęciem ważnej decyzji. Szczególnie polecano alumnów mających przyjąć szatę duchowną, a neoprezbiterzy odprawiali pierwszą Mszę Świętą.

W każdym razie obraz przeżywał w na-



szym Seminarium 22 lata i zrósł się z życiem naszego domu. Nie dziwi więc fakt mocnego sprzeciwu związanego z oddaniem obrazu do Jasienia, aby uczynić tam sanktuarium dla Bieszczad. Biskup senior Ignacy Tokarczuk, wówczas Ordynariusz, ogłosił tę decyzję na refektarzu w maju 1967 roku, a dopiero 17 czerwca 1968 roku ks. Ryszard Mucha, ówczesny proboszcz parafii Jasień dokonał przewiezienia obrazu w sposób tajny, ze względu na sytuację polityczną. Otóż władze państwowe były przeciwnie utworzeniu sanktuarium Maryjnego w Bieszczadach i Milicja oraz Służby Bezpieczeństwa miały za zadanie „aresztować” obraz lub zniszczyć. Udało się jednak przewieźć go furmanką w sianie. 6 lipca 1968 roku rozpoczęła się in-tronizacja obrazu Matki Bożej Bieszczadzkiej w Jasieniu. Uroczystą Mszę Świętą odprawił ks. bp Ordynariusz Ignacy Tokarczuk, a dzień później ówczesny ks. kardynał Karol Wojtyła, sługa Boży Jan Paweł II.

Ten cudowny obraz to ikona bizantyjska z przełomu XV i XVI wieku, namalowana temperą na płótnie, które następnie zostało naklejone na lipowej desce. Obecnie znajduje się w głównym ołtarzu Kościoła parafialnego w Jasieniu. Przedstawia Matkę Bożą z Dzieciątkiem Jezus na lewej ręce. Zwrócona jest centralnie do widza, ubrana w suknie koloru ciemnej, głębokiej czerwieni wpadającej w ciemny brąz w cieniach, a w światłach w kraplak z podkładem cynobru. Brzeg sukni zdobiony jest lasówką w kształcie złotego pasemka. Jej cudowne oblicze cechuje powaga połączona z głębokim smutkiem. Pod prawym okiem widać dość wyraźną plamę, spowodowaną odbiciem farby i powtórny jej nałożeniem. Jest to ślad jaki pozostawiło kopyto jakiegoś tatarskiego konia. Posiada ciemne skonstruowanie oczu, nosa i podbródka. Wzrok Maryi skierowany jest

przed siebie dzięki czemu ma kontakt z widzem. Oczy są ciemne, usta brązowe, a brwi czarne. Ręce o długich palcach utrzymane są w karnacji twarzy.

Jezus przedstawiony jest wschodnim zwyczajem jako władca. Na jasną tunikę ma narzucony płaszcz, niegdyś prawdopodobnie koloru fioletowego, obecnie poszarzały. Prawą rączkę nachyla ku pielgrzymom z gestem błogosławieństwa, w lewej trzyma zwój Pisma Świętego. Twarz bardzo dobrze oddaje ponadziemską spokojną mądrość, co zaznaczone jest tak zwanym guzem mądrości na czole. Obie postacie umieszczone są na złożonym, pokrytym roślinną ornamentacją tle, tj. kwiatów i liści, które ciągną się jednolicie przez tło. Na tym tle u góry, po obu stronach unoszą się Archaniołowie Rafał i Gabriel. Brzegi boczne i dolny stanowią fryz, w którym umieszczono 18 postaci. Są to święci przede wszystkim Starego Przymierza, związani z Matką Chrystusa. W ten sposób Maryja jest ukazana w ścisłym powiązaniu z całością dzieła Odkupienia.

Poczynając od góry po lewej stronie, widzimy Mojżesza z krzakiem gorejącym, Dawida ze świątynią w ręce, Gedeona z runem, a następnie proroków. Po prawej od góry widzimy: Aarona z laską, króla Salomona, Jakuba z drabiną, Ezechiela z zamkniętą bramą, Izajasza i Daniela z górą w reku z czerwonym kamieniem na głowie. W dolnym frezie są ponadto: Symeon, Zachariasz, Joachim, Anna, oraz dwaj święci Nowego Testamentu Kosma Jerozolimski i Jan Damasceński, którzy o Maryi pisali.

Jest rzeczą nie znaną kiedy i przez kogo ten obraz został namalowany. Ornamenty w tle zdają się wskazywać na koniec XV lub na pierwszą połowę XVI wieku. Natomiast święci Nowego Testamentu to pośrednia wskazówka, że pierwowzór tego dzieła powstał w IX lub X wieku.

Boskie Oblicze - Całun z Manoppello - Drugi Świadek Zmartwychwstania



kl. Marek Kapłon

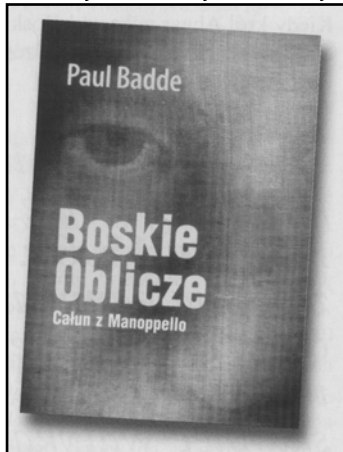
*„Volto Santo w Manoppello
to największy cud, jaki posiadamy”*

Na lekcji religii, podczas praktyk w mojej byłej szkole, młodzież licealna poprosiła mnie, abym coś im powiedział na temat Całunu z Manoppello, gdyż coś słyszeli na ten temat i chcieli się coś więcej dowiedzieć. Sam niewiele wiedziałem jeszcze na ten temat, jedynie coś z prasy i internetu. Postanowiłem więc dotrzeć do książki o Całunie autorstwa Paula

Badde, która ukazała się przed kilkoma miesiącami i od razu stała się światowym bestsellerem.

Paul Badde – historyk i dziennikarz, rzymski korespondent dziennika Die Welt twierdzi, że odnalazł autoportret Jezusa Chrystusa. Książka ta wprowadza od samego początku czytelnika w pasjonującą przygodę odkrywania prawdy o niezwyklej relikwii Zmartwychwstania. Autor opowiada o tym, że Chrześcijaństwo jest w posiadaniu autentycznego wizerunku Chrystusa, o którym mówi mnóstwo wizerun-

ków i dokumentów kościelnych. Historia tego wizerunku jest bardzo ciekawa. Do Europy przywędrował najprawdopodobniej z Jerozolimy wraz z Całunem Turyńskim do Edessy. Następnie dotarł do Konstantynopola w roku 574 gdzie przebywał do VII wieku, ponieważ został przeniesiony do Rzymu i był przechowywany



w kaplicy św. Weroniki w Bazylice św. Piotra. Przez bardzo długi czas był otaczany w Kościele czcią, lecz mniej więcej 400 lat temu zaginął i w przedziwny sposób popadł w zapomnienie. Sprawa nigdy nie wyszła na jaw, bo zaginięcie bezcennego ob-

razu byłoby wielkim skandalem.

Skandal był ogromny, ale większy od niego jest cud, że obraz wcale nie zaginął, nie został zniszczony, wyszedł z tej historii bez uszczerbku.

Paul Badde wyjaśnia, w jaki sposób Wizerunek Chrystusa znalazł się w Manoppello, małym pięciotysięcznym włoskim miasteczku. Jest to historia pasjonująca, ale bardziej pasjonujące są badania przeprowadzone na całunie.

Naukowcy jednoznacznie twierdzą, że obraz ten przedstawia świadectwo Zmartwychwstania Jezusa i jest obrazem nienamalowanym ludzką ręką, wizerunkiem Chrystusowego Oblicza. Współczesna nauka nie jest w stanie stwierdzić w jaki sposób powstał obraz. Całun

z Manoppello wg badań pochodzi z Jerozolimy i utrwalenie Twarzy dokonało się w Jezusowym grobie w momencie Jego Zmartwychwstania. Zaskakujące jest też to, że Całun z Manoppello jest wykonany z bisioru- morskiego jedwabiu. Z technicznego punktu widzenia jest niemożliwe namalowanie czegokolwiek na morskim jedwabiu, a zwłaszcza tak precyzyjnego wizerunku.

Dowodem autentyczności płótna przedstawionym w książce, jest również fakt suprapozycji, czyli nałożenia całunu z obrazem Twarzy z Manoppello na Twarz z Całunu Turyńskiego. Obydwa oblicza w 100% odpowiadają sobie w strukturze i wymiarach. O ile jednak w Całunie Turyńskim jest to oblicze namalowane męką, o tyle Oblicze z Manoppello namalowane jest w momencie zmartwychwstania, przechodzenia ze śmierci do życia.

Paul Badde idąc również za świętym Ojcem Piotrem, twierdzi, że Boskie Oblicze z Manoppello jest rzeczywiście największym cudem, jaki posiada Kościół.



Warto sięgnąć po tę książkę, warto poznać niezwykłą historię Oblicza Chrystusa. Jezus poprzez to oblicze wzywa nas wszystkich do nawrócenia, do nawiązania z Nim osobistego kontaktu, do kontemplacji Jego Oblicza.

Całun z Manoppello jest znakiem, który dał nam Bóg, byśmy współczesnym „Tomaszom” mogli nieść Dobrą Nowinę o Bogu żywym i prawdziwym, o Emanuelu – Bogu z nami.



kl. Piotr Kokocki

W dobrych zawodach występujemy

„Potencjał ukryty w sporcie sprawia, że jest on szczególnie ważnym narzędziem integralnego rozwoju człowieka (...). Poczucie braterstwa, wielkoduszność, uczciwość i szacunek dla ciała przyczyniają się do budowy społeczeństwa, gdzie miejsce antagonizmów zajmuje sportowa rywalizacja, gdzie wyżej się ceni spotkanie niż konflikt, uczciwe współzawodnictwo niż zawzięta konfrontacja” – w myśl tych słów Sługi Bożego Jana Pawła II nasza Seminaryjna

Drużyna od kilku już lat bierze udział w Mistrzostwach Polski Wyższych Seminariów Duchownych w Piłce Nożnej.

Warto popatrzeć na historię tych Mistrzostw.

Każdy Finał rozgrywany jest co dwa lata. Organizatorem eliminacji i turnieju finałowego jest zawsze któryś z Wyższych Seminariów Duchownych, które zdobyło tytuł mistrzowski. Pierwszy



Drużyna na meczu wyjazdowym w Elku w obecności ks. bpa Jerzego Mazura

Finał odbył się w 1991 roku w Paradyżu, gdzie Mistrzem polski zostali Gospodarze – alumni z WSD w Paradyżu. II Finał miał miejsce w Koszalinie w 1993 roku, gdzie tym razem szczęście uśmiechnęło się do uczniów Seminarium sandomierskiego. Dwa lata później, w roku 1995 odbył się III Finał Mistrzostw w Sandomierzu, gdzie tytuł Mistrza Polski zdobyli alumni z WSD w Siedlcach. Kolejne Finały odbywały się w Siedlcach w 1997 roku, w Sandomierzu w 1999, Sandomierzu – Stalowej Woli w roku 2001, gdzie za każdym razem zwyciężali alumni sandomierscy. W roku 2003 odbył się VII Finał w Sandomierzu, a VIII w 2005 roku w Siedlcach. Zwycięzcami tych dwóch Finałów byli alumni Seminarium siedleckiego.

Reprezentacja naszego Seminarium wielki sukces odniosła dwukrotnie, kiedy to w 2003 roku w Sandomierzu, a następnie w roku 2005 w Siedlcach zdobyła Wicemistrzostwo Polski.

Obecnie trwają eliminacje do IX

i (1:2). W II rundzie nasza Reprezentacja zmierzyła się z Drużyną z WSD w Elku. Także i ta runda zakończyła się sukcesem naszych Piłkarzy (0:9) w meczu wyjazdowym i (3:0 – walkower) u siebie.

Rozpoczęła się trzecia runda eliminacji. Nasza Drużyna rozegrała mecz z Reprezentacją WSD w Radomiu. Spotkanie odbyło się w Przemyślu i zakończyło zwycięstwem naszej Drużyny (3:0). Już wkrótce zostanie rozegrany mecz rewanżowy w Radomiu. Powodzenia!!!

Spora liczba uczniów naszego Seminarium żywo interesuje się sportem i aktywnie uczestniczy w poczynaniach naszej Reprezentacji, a jako kibice niejednokrotnie już dali przykład profesjonalnego doping, którego nie powstydziliby się niejeden renomowany klub. Wielokrotnie przyczynili się do zwycięstwa naszej Drużyny, ale także na miarę możliwości swoich gardeł wspierali ekipy przybyłych Gości.

Piłkarska, to sport w którym poprzez solidną i wytrwałą pracę całego zespołu można dojść do sukcesu, a przy tym zbudować prawdziwie braterskie więzi i dać świadectwo chrześcijańskiego życia. Podmiotem kultury sportowej jest wymiar cielesny człowieka, jednak cała

osoba jest w nią zaangażowana: inteligencja, wola, uczucia, napięcie moralne, charakter, każdorazowe wybory życiowe oraz wiara.

„My zatem (...) odłożywszy wszelki ciężar, (a przede wszystkim) grzech, który nas łątwo zwodzi, winniśmy wytrwale biec w wyznaczonych nam zawodach. Patrzmy na Jezusa, który nam w wierze przewodzi i ją wydoskonala”. (Hbr 12, 1-2)



Zmagania na murawie

Mistrzostw Polski, których finał zostanie rozegrany w Siedlcach w 2007 roku. Eliminacyjne spotkania są rozgrywane systemem pucharowym: mecz i rewanż (jedno spotkanie u siebie, a drugie na wyjeździe). Rozgrywki eliminacyjne zawierają cztery rundy spotkań. Nasza Reprezentacja w I rundzie spotkała się z Drużyną z WSD w Rzeszowie. Obydwa mecze zakończyły się naszym zwycięstwem (4:0)

Poezja

Godzien jest

Godzien jest człowiek odnaleźć chwile
które odnowią zmęczony wzrok
są to godziny które na lata
pozwolą zmienić człowieczy los
Godzien jest człowiek odnaleźć miłość
która falami zalewa świat
jest to ta powódź której człek każdy
czeka od swoich dzieciennych lat
Godzien jest człowiek odkryć znów wiarę
która filarem modlitwy jest
tej to najprostszej bo całym życiem
czyni tak dobrym każdy Twój gest
Godzien jest człowiek krzewić nadzieję
którą narody znów widzieć chcą
bo ona mówi że przyjaciele
naszą pomocą na świecie są
Godzien jest człowiek stać się człowiekiem
którym nie każdy może już być
bo w człowieczeństwie znajdziem tak wiele
wartości które pozwolą żyć
Godzien jest człowiek odnaleźć siebie
w ogrodzie świata i ludzkich tchnień
tutaj się dusza z Bogiem przeplata
rozprasza mroków ogromny cień
Godzien jest człowiek odmienić ziemię
na której rzesze ogromne są
ludzi co będą wiarą, nadzieją
miłością, chwilą i duszą mą.



Lukasz Filip

Pokorny

Patrzyłeś daleko
a widziałeś tak blisko
to co najważniejsze
Patrzyłeś głęboko
i widziałeś co ludzkie i Boskie
Patrzyłeś nie w siebie lecz w Pana
a On pokazał Ci
gdzie chce być kochany
ubodzy upadli
nędzarze cierpiący słabi
to jest najpiękniejsze
patrzyłeś i pokochałeś
jak anioł na ziemi przemyskiej
by pokazać że miłość
rodzi się tam gdzie nic się nie rodzi



Michał Kozak



Sanctissimus

Czy wierzysz w to bracie

On tu jest
Czy Go widzisz

On tu jest
Czy Go słyszysz

Popatrz w przód nie na świat
Słuchaj ciszy nie molochu
Daj się unieść nie emocjom
a Duchowi

O Najświętszy
Jesteś tu

W białym chlebie zawsze skryty
dla człowieka Tyś jest tu

Prawda że Jesteś
Prawda że Jest Matko
Prawda że Jest Święty Biskupie
Prawda że Jest Janie Pawle Wielki
Prawda że Jesteś

Prawda
Byłem Jestem i Będę

Pozostań z nami Panie
gdyż mamy się ku Zachodowi



Paweł Boboła

Krocząc w stronę światłości
Przez cały żywot nieznany
Wyznawać drogę miłości
I odkryć świat już poznany

Wiarę przywrócić wątpiącym
Wartość w małości przekazać
Świętość dać nieznanym
Wielkość radości okazać

To powołanie człowieka
Szukać miłości z wiek wieka
Chociaż wciąż obok nas czeka
łaska Zbawienia wiecznego



Filip Łukasz

Powołanie w miłości

Miłość największe imię całego wszechświata
nieważne czy u siostry czy u mego brata
promieniuje z postawy w każdej miłej chwili
kiedy serce z tęsknoty nieustannej kwili

Miłość to wielkie słowo którego nie pojmę
bo w całej swej istocie jest tak bardzo korne
łączy ludzi w problemach jak i w dobrych czasach
kiedy dusza się szarpie w swych przepastnych lasach

Do miłości wzywają często ludzie święci
i dają ją za przykład do budowań więzi
z Bogiem a także z ludźmi których spotykamy
tak w życiu jak i w myśli zapełnionej łzami

Nad sztukę współistnienia wybija się ona
wieloma obrazami tak wielce sławiona
Miłość jest przecież serca porywem ostatnim
i nadzieją na życie w momencie dostatnim

Czymże miłość w mym życiu z łaską się przebija
i moimi myślami jak niczym wywija
wciąż zmienia każde moje na życie spojrzenie
z nią realnym się staje w serce me wejście

I w co się zacznie układać wizerunek prosty
który w duszy istnienie jest tak bardzo wrosły
co powie o istocie tej mojej miłości
w której często pojawia się też ziarno złości

Miłość to całe dobro które ja mam w życiu
Ona jest mym ratunkiem od tworzenia rytu
który by się sprzeciwił temu powołaniu
jakim mnie Pan obdarzył w nadludzkim wołaniu



Lukasz Filip

Chodź tu wołam Cię
Chodź za moim głosem
Nie bój się Mnie
Wołam Cię i serce Twe

Chodź by wołanie to
Rozwiało Twoje Sny
Wiodło po ostrych kamieniach
Nie zagłuszonej ciszy Tej

Głos woła Cię
Idź za nim
Chodź by prowadził przez dni
Chodź by prowadził przez noce

Idź za tym głosem
Uwierz głosowi miłości
Gdy mówi do Ciebie
Nawet gdy krzyżuje Ciebie i Mnie

Głos miłości woła
Nie bój się serce zwycięży
Nie przegra w wojnie wątpliwości

Głos miłości woła
Nie bój się wyciągnij dłoń
Otwórz oczy serca na głos Miłości

Głos



Wśród księżycy fal promieni
Bieszczadzkich wiatrów cieni
Deszczu śniegu pogodzie
Górskiej niedoli i chłodzie

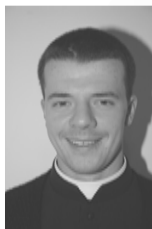
Króluje krzyż który prowadzi nas
Na szczyty wiary pogłębiających
Doliny nadziei rosnących
Przełęcz miłości oczekujących

Czy latem czy zimą pokazuje
Nam drogę którą mamy zmierzać
Poprzez szczyty doliny przełęcz
Poprzez wiarę nadzieję miłość

Wśród słońca promieni iskrzących
I tych gór promieni zniewalających
Króluje krzyż srebrzyście błyszczący
I swym Światłem nas prowadzący
Na wąskie ścieżki gór i życia

Krzyż Bieszczadzki





Po raz pierwszy po latach

kl. Michał Kozak - redagował

Tak to już jest, że ludzie przychodzą i odchodzą. Zmieniają się na stanowiskach, w urzędach, w sklepach. Zmieniają się gdy zachodzi taka potrzeba. Dla człowieka każda zmiana powinna być jakimś znakiem Bożej Opatrzności, że przyszedł czas, aby kto inny dana rzecz, sprawę pokierował. I tak rzeczywiście jest. Mówi się, że Pan Bóg posyła na nasze ludzkie drogi życia anioły, aby nam towarzyszyły, prowadziły nas i kierowały na właściwe tory ludzkiej egzystencji. Możemy się pochwalić, że i na nasze seminaryjne drogi Pan Bóg posłał takie anioły, by na nowo prowadzić nas alumnów do tej wielkiej Tajemnicy jaką jest Bóg. Tymi aniołami są nasi nowi przełożeni, którzy są odpowiedzialni za naszą seminaryjną formację. Niektórzy zmienili tylko stanowiska, ale są i tacy, którzy tak głęboko z seminarium związani byli podczas swojej kleryckiej formacji. Wraz z moimi kolegami pozwoliłem sobie zadać kilka pytań naszym „pierwszacom”. Jako pierwszą chce przedstawić rozmowę z naszym nowym Księdzem Rektorem, który do tej pory prowadził wykłady ze Starego Testamentu. Rozmawiał z Księdzem Rektorem nie kto inny jak dziekan alumnów - Jastrzębski Łukasz. Oto ta rozmowa:

Kl. Łukasz: W Seminarium nie jest ksiądz Rektor nową postacią dla kleryków, ale nie da się ukryć, że zmieniając funkcję z prefekta na rektora, zmieniły się także obowiązki, a dokładnie mówiąc - to wiele przybyło. Jakie nowe obowiązki w stosunku do poprzednich przyniosła funkcja rektora?

Ks. Rektor: Najważniejszym z nowych obowiązków to sprawy związane z formacją całego Seminarium, wszystkich alumnów. Doszedł obowiązek reprezentowania uczelni tutaj wewnątrz naszego seminarium i poza seminarium. Dużo spraw związanych z korespondencją, z formacją alumnów, skrutinia, rozmowy, dużo spraw gospodarczych, związanych z wychowaniem, dydaktyką. Przybyło tych zajęć. Największą trudnością związaną z tą nową funkcją jest poczucie odpowiedzialności i konieczność podejmowania w wielu kwestiach decyzji. Na szczęście towarzyszy mi bardzo zgrany zespół Przełożonych. Jestem Im bardzo wdzięczny, bo zawsze służą mi swoją po-

mocą i dobrą radą, dlatego łatwiej jest pracować.

Kl. Łukasz: Formację Seminaryjną odbywał Ksiądz w latach 1987 – 1993. Kto w tych latach pełnił funkcję rektora i jak, jako kleryk postrzegał Ksiądz te obowiązki, a jak patrzy na nie dziś, gdy sam je pełni?

Ks. Rektor: Przez pierwsze lata mojej obecności w Seminarium rektorem był obecny ksiądz infułat Stanisław Zygarowicz, a potem przez ostatnie trzy ksiądz profesor Stanisław Hareźga. Zawsze wspominam Księdza Infułata jako człowieka wielkiej wiary, o niezmiernej życzliwości w stosunku do wszystkich alumnów. Darzyliśmy Go wielką życzliwością, łatwo było nawiązać z Nim kontakt. Ksiądz Infułat tryskał do dzisiaj wielkim poczuciem humoru – było tak przed laty. Nie było żadnych barier, aby z różnymi sprawami podejść, porozmawiać. On zawsze jak umiał to pomógł. Podobnie i ksiądz rektor Stanisław Hareźga. Pamiętam, że początkowo starał się wprowadzić dużo rzeczy, może nie wszystkie się udało wprowadzić, ale na pewno wiele zawdzięcza seminarium i Jemu. Z podziwem patrzę na tych poprzedników jak również i na późniejszych rektorów. Staram się jak najwięcej korzystać z ich doświadczenia i co będzie z seminarium to przyszłość pokaże. Będzie dobrze.

Kl. Łukasz: Niedługo po święceniach kapłańskich został Ksiądz skierowany na studia do Rzymu. Jak Ksiądz sądzi – jakie cechy dostrzegli w Księdze osobowości Księża Przełożeni, że skierowali Księdza na studia biblijne?

Ks. Rektor: Trzeba by było moich przełożonych zapytać, jakie cechy dostrzegli. Myślę, że decydującym było to, że pisałem pracę magisterską ze Starego Testamentu u księdza profesora Stanisława Potockiego. Pamiętam moją rozmowę z Księdzem arcybiskupem Józefem Michalikiem, bo to On kierował mnie na studia. Otworzyła się możliwość, gdyż zwolniło się miejsce w Rzymie i szukano kogoś, aby go tam posłać. Ksiądz Arcybiskup miał dla mnie propozycje różnego rodzaju kierunków studiów, ale też na końcu zapytał, gdzie ja bym chciał



studiować. Ja odpowiedziałem, że Pismo Święte. Myślę, że ostatecznie to zaważyło nad kierunkiem studiów.

Kl. Łukasz: Jednym z obowiązków Księdza Rektora jest przyjmowanie nowych kandydatów do Seminarium. Przechodzą oni z różnych środowisk wraz z wielkim bagażem doświadczeń. Czy na podstawie pierwszej rozmowy wstępnej można stwierdzić, czy dany kandydat nadaje się do kapłaństwa?

Ks. Rektor: Myślę, że tak. Zwłaszcza, że ta rozmowa jest blisko godzinna. Otwiera bardzo wiele możliwości przed rektorem, który zadaje różnego rodzaju pytania temu kandydatowi. Jeżeli szczerze intencje mu towarzyszą to widać to od razu. Potem ta jego prośba o przyjęcie do seminarium jest zawsze poparta opinią duszpasterzy, środowiska, z którego pochodzi. W sumie cały ten obraz może nie tyle pozwala rzeczywistości nabrać jakiegoś tam osądu, ale na pewno daje tyle wiedzy, że można zdecydować o przyjęciu go do seminarium. Wystarczająco dużo czasu ma się na rozmowę z tym kandydatem, aby odkryć i zdecydować, że ten kandydat nie nadaje się do seminarium. Wystarczająco długa jest ta rozmowa by ocenić predyspozycje kandydata. I tym wszystkim, którzy nie powinni być w seminarium, powiedzieć, że ich droga jest gdzie indziej.

Kl. Łukasz: Jak by na to nie patrzeć jest Ksiądz „Głową” naszego Seminarium. Jest Ksiądz odpowiedzialny za pełną formację kleryków. Co trzeba robić by mieć siłę do dźwigania tej wielkiej odpowiedzialności, wśród tylu innych obowiązków?

Ks. Rektor: W moim mniemaniu to ja zawsze liczyłem na modlitwę innych. Moi rodzice bardzo się modlą i jeszcze kilka innych osób, które ciągle zapewniały mnie o modlitwie w mojej intencji. Codziennie to robią. Ja czuję rzeczywistość tą wielką pomoc, która płynie z tej modlitwy. Czuje się taką wewnętrzną siłą. Kiedy rano wstaję do codziennych obowiązków to mam świadomość, że tam, ktoś pamięta o mnie przed Bogiem. Bóg także daje wiele sił skoro przez ludzi Kościoła postawił mnie na takim miejscu. Ufam, że sam zatroszczy się o to, abym jak najlepiej wypełniał to zadanie.

Kl. Łukasz: W codziennych obowiązkach wspomagają Księdza Rektora m. in. Koledzy kursowi: ks. Marek Wilk oraz ks. Norbert Podhorecki. Jak wspomina ich Ksiądz jeszcze z czasów kleryckich? Czym szczególnym się wyróżniali spośród innych kolegów na kursie?

Ks. Rektor: Nas było bardzo wielu. Pamiętam, że pierwszy rok to ponad sto osób. Wszystkich nas przewinęło się 107 osób. To wielka gromada. Na początku trudno było rozpoznać, zapamiętać wszystkie imiona i nazwiska swoich kolegów z kursu. Z czasem, zwłaszcza, że ten rocznik dość szybko się kurczył już łatwiej było nawiązać przyjaźnię. Księdza Norberta znam dość dobrze o tyle, że jesteśmy niedalekimi kranianami, gdyż pochodzi On z Iwonicza Zdroju. Na piątym roku mieszkaliśmy razem, dlatego, że on był dziekanem, a ja ceremoniarzem. Miałem zaszczyt dzielić z nim jeden pokój. Czym się wyróżniał? Zawsze był i jest inteligentny, pedantyczny, wszystko musiało być na swoim miejscu. Wyróżniał się tym, że był erudyta wielkiej klasy i od niepamiętnego czasu interesował się muzyką. Czasem nieraz z konieczności musiałem słuchać tej muzyki. Niektóre z tych form muzyki polubiłem. Ma wielką zdolność współpracy z innymi, tolerancję dla innych, wyrozumiałość. Za to bardzo go ceniłem i cenię. Ksiądz Marek Wilk zawsze wyróżniał się radością, szczerością i prostotą. Myślę, że zostało mu to do dzisiaj. Dlatego miał wielu przyjaciół i nadal ma. Myślę, że tą radością emanuje na wszystkich.

Kolejną rozmowę z naszym Ojcem Duchownym - Księdzem Krzysztofem Chudzio, przeprowadził kleryk Grzegorz Rupa. Oto o czym rozmawiali:

Kl. Grzegorz: Jest ksiądz najstarszym kapłanem w naszym seminarium wśród księży bezpośrednio odpowiedzialnych za naszą formację. Przez wiele lat pracował Ksiądz na Ukrainie. Jakie Ksiądz pełnił obowiązki i jakie zdobył doświadczenia?

Ojciec: Najstarszym? Mam nadzieję, że tylko jednym z najstarszych.

A co do Ukrainy, to rzeczywiście, przez ponad 16 lat pracowałem w diecezji kamienieckiej. Sam wyjazd był odpowiedzią na propozycję Księdza Biskupa Ignacego Tokarczuka i +ks Biskupa Stefana Moskwy. Początkowo, przez dwa lata pracowałem jako duszpasterz w Winnickim obwodzie, obsługując kilka dość dużych wspólnot katolickich, a następnie po reaktywowaniu diecezji kamienieckiej, nowo zamianowany Ksiądz Biskup Jan Olszański poprosił, aby przenieść się do Kamieńca i pomóc w Jego nowych obowiązkach. Ponieważ Biskup musiał faktycznie budować i organizować tę diecezję od przysłowiowego "O", dlatego z konieczności przyszło pomagać we wszystkim: w organizacji kurii diecezjalnej i sieci parafialnej, w organizowaniu seminarium, w budowaniu kościołów i poszukiwaniu funduszy na ten cel,

działalności wydawniczej, a również i bezpośredniej pracy duszpasterskiej. Dużą część mojego czasu wypełniały spotkania z kapłanami, przyjeżdżającym kilkadziesiąt albo kilkaset kilometrów do kurii, aby spotkać się z swoim Biskupem.

Kl. Grzegorz: W naszym seminarium jest Ksiądz ojcem duchownym czyli odpowiada Ksiądz za formację kleryckiego ducha. Jak doświadczenia zdobyte w pracy z alumnami na Ukrainie przydają się w pracy w naszym seminarium?

Ojciec: Tak, to prawda, że sporo czasu spędziłem we współpracy z alumnami, zwłaszcza w początkowych latach powstawania seminarium. Chyba tamci alumni nauczyli mnie bardziej, ufać Bożej Opatrzności. Ale też zmuszali do ciągłego stawiania pytania o właściwe motywy bycia kapłanem.

Kl. Grzegorz: W naszym seminarium wszyscy do ojców duchownych mówią „ojcze”. Jak się Ksiądz czuje mając „150 synów”?

Ojciec: W diecezji kamienieckiej, do wszystkich księży wierni mówili „ojcze”, dlatego nie sposób było przejść obojętnie wobec takiego tytułu. Niestety, nie zawsze udawało się być „ojcem” dla nich. To wynikało nie tylko z poważnych ograniczeń materialnych, ale także z braku doświadczenia, a i chyba zwykłej ludzkiej ułomności. A jak się czuje teraz? Oprócz świadomości wielu braków i ograniczeń z mojej strony, wiem że nie jestem sam. Bo jest tu wspaniały zespół ojców duchownych i przełożonych, ale i wśród kleryków widzę dobrą wolę i szczerą chęć osiągnięcia kapłaństwa. Poza tym pociesza mnie ufność, że im więcej nie potrafię sam, tym więcej będzie Pan Jezus poprawiał, bo przecież tu chodzi o Jego szkołę.

Kl. Grzegorz: Czego Ksiądz się boi w funkcji jaką pełni?

Ojciec: Zastanawiam, czego się nie boję i nie potrafię znaleźć. Ale chyba najbardziej boję się pokusy własnego lenistwa w modlitwie za kleryków.

Kl. Grzegorz: Prowadzi Ksiądz z nami wykłady z Teologii Wschodu. Za kilka tygodni ja będę odpowiadał na egzaminie, ale dziś pytam Księdza co szczególnego i specyficznego jest w tej wschodniej duchowości i czego my, chrześcijanie obrządku łacińskiego w Polsce mamy się z niej uczyć?

Ojciec: Duchowość Wschodu, to duchowość, która podpowiada wejście na drogę pokornej

i nieustannej modlitwy, zdolna do wielu poświęceń i wskazująca na Bożą Moc. Chrześcijanie Wschodu potrafią pokornie przyjąć wolę Bożą i mniej pytają „dlaczego”.

Kl. Grzegorz: Czego sobie Ksiądz życzy w pracy formacyjnej? Czego życzy Ksiądz klerykom?

Ojciec: To zadanie, które zlecił mi Ksiądz Biskup, traktuje również jako pewne wezwanie dla siebie. Jeśli klerycy mają się uświęcić, to może i mi uda się przy nich. A alumnom? Oczywiście, że wytrwania i dojścia do kapłaństwa, ale także życzę im mądrości Ducha Świętego, pozwalającej „wysoko stawiać sobie poprzeczkę” kapłańskiej świętości.

Nie ma domu w którym ktoś nie zajmuje się finansami. Nad tą stroną naszego domu czuwa Ksiądz Dyrektor Administracyjny Janusz Jakubiec. Tej rozmowy nie mógł prowadzić kto inny, jak kurator porządku domowego - kleryk Kwitek Grzegorz:

Kl. Grzesiek: Został ksiądz mianowany dyrektorem administracyjnym (tzw. prokuratorem), czy było to dużym zaskoczeniem?

Ks. Dyrektor: Tak i to bardzo. Nigdy nie myślałem, nie marzyłem, ani się nie modliłem o taką funkcję i dlatego odkąd się dowiedziałem - byłem przerażony.

Kl. Grzesiek: Czy marzył ksiądz kiedykolwiek o powrocie do seminarium w roli przełożonego i jakie obowiązki chciałby ksiądz podjąć?

Ks. Dyrektor: Mam wielki sentyment do tego miejsca. Spędziłem tam sześć lat, które bardzo mile wspominam. Później jako wikariusz w Archikatedrze żyłem przez trzy lata w cieniu Seminarium. O powrocie nie marzyłem. Zawsze jednak podziwiałem Ks. Profesorów, Wychowawców za ogromną odpowiedzialność, jaka spoczywa na ich barkach. Ale siebie w tej roli nie widziałem.

Kl. Grzesiek: „Prokurator” - brzmi to groźnie i kojarzy się z wymiarem sprawiedliwości. Jakie obowiązki ma seminaryjny prokurator i czy klerycy powinni się go bać?

Ks. Dyrektor: Słowo „prokurator” było w użyciu za moich kleryckich czasów. Obecnie funkcjonuje nowa nazwa „dyrektor administracyjny i ta jest chyba łagodniejsza (dla kleryków i ludzi z zewnątrz). Jeżeli chodzi o obowiązki, to jest ich trochę: prowadzę biuro, mam dużo styczno-

ści z ludźmi pracującymi tu na miejscu i poza murami Seminarium, chodzę sobie po różnych urzędach. Trzeba też myśleć o wszystkich „mediach” – maszyny, urządzania. Bardzo dużo pomaga mi Siostra Przełożona, która wiele czasu spędza w księgowości. Myślę, że klerycy nie powinni bać się żadnego z Przełożonych, przecież my tu nie stanowimy jakiegś grupy terrorystycznej, która ma prześladować podwładnych, ale jesteśmy tu po to, aby pomagać młodym ludziom kształtować ich życiowe powołanie. Wiadomo, że czasem coś nie wychodzi klerykowi i wtedy trzeba dokonać pewnego rozliczenia z postępowania, ale to zawsze odbywa się w trosce o drugiego człowieka. Jestem tu cztery i pół miesiąca i nie miałem żadnych trudnych sytuacji ze strony kleryków. Przychodzą do pracy, są grzeczni – myślę, że takie dobre relacje między nami pozostaną.



Kl. Grzesiek: Obecnie troszczy się ksiądz o stronę gospodarczą, ekonomiczną seminarium. Alumni roku V podejmują różnego rodzaju urzędy (posługi). O co ksiądz, o kogo troszczył się, gdy był na V roku? Jak ksiądz wspomina ten czas?

Ks. Dyrektor: Będąc na V roku byłem infirmarzem (odpowiedzialnym za stronę medyczną). Chodziłem z klerykami na ortopedię, kupowałem lekarstwa, pomagałem pani doktor Wojnarowicz. Mile wspominam tę posługę, choć muszę się przyznać bez bicia, że nieraz zdarzyło się mnie i moim kolegom trochę pokombinować i podać – jak nie było właściwych – „leki zastępcze” lub posmarować bolącą nogę kremem „NIVEA”.

Kl. Grzesiek: Co sprawia księdzu największą trudność w tej posłudze?

Ks. Dyrektor: Ciężko powiedzieć co sprawia mi największą trudność. Jest to dla mnie jakieś nowe doświadczenie, coś nowego i nieraz pewne sprawy zajmą mi mniej czasu, inne więcej, ale zawsze mogę liczyć na pomoc Ks. Rektora i Ks. Przełożonych. To jest bardzo ważne.

Kl. Grzesiek: Zdobył ksiądz różne doświadczenia w czasie 10-letniej pracy duszpasterskiej. Spotykał się ksiądz z dziećmi, młodzieżą, dorosłymi, z ich radościami i smutkami i oczekiwaniami od kapłana. Jak to doświadczenie wykorzystuje ksiądz pracując w seminarium, gdzie formują się przyszli duszpasterze?

Ks. Dyrektor: Po święceniach przez trzy lata pracowałem w rodzinnej parafii Ks. Rektora – w Zręcinie. Uczyłem tam w trzech szkołach podstawowych, prowadziłem oazę młodzieżową i sześć Kregów Domowego Kościoła. Następne trzy lata pracowałem w Archikatedrze, gdzie również uczyłem w szkole podstawowej, prowadziłem i Neokatechumenat. Kolejne cztery lata spędziłem w Żołyni, gdzie przez dwa lata uczyłem w gimnazjum, a kolejne w liceum. Praca z młodzieżą nie należy do łatwych, ale muszę powiedzieć, że jak ma się dla młodych ludzi czas, to można z nimi zrobić wszystko. Prowadziłem w Żołyni trzy Kregi Domowego Kościoła i KSM. Organizowaliśmy przez cztery lata czuwania z racji pierwszych piątków miesiąca (o godz. 1900) – były robione na wzór spotkań z Taizé, robiliśmy szopkę, ciemnicę, Boży Grób, ołtarze na Boże Ciało, akademie okolicznościowe, Misterium Męki Pańskiej, jasełka. Moja rada dla was jest taka, abyście nigdy nie lekceważyli młodzieży, ich pytań, problemów. Oni bardzo często krepują się rodziców, wychowawców, a do katechety mają zaufanie i będą z wami rozmawiać o wszystkim, bardzo chętnie będą wam pomagać w różnych „akcjach” – muszą mieć tylko dobry przykład i motywację.

I ostatnim „Pierwszakiem” w naszej wspólnoty jest Ksiądz Marek Wilk. Miałem zaszczyt prowadzić tę rozmowę. Oto co z tego wyszło:

Kl. Michał: Jak zmieniły się obowiązki Księdza jako prefekta seminarium w porównaniu do pracy w parafii Krosno, Krzywca, Przeworsk i Sanok?

Ks. Marek: Muszę powiedzieć, że jest to zmiana zasadnicza. Pracując jako wikariusz w tych parafiach wykonywałem zadania wikariusza. Natomiast obejmując funkcje prefekta w seminarium niejako zostawiłem te obowiązki ściśle duszpasterskie, a podjąłem te związane z życiem seminaryjnym. Zmienił się także kontakt z ludźmi z którymi pracowałem na tych placówkach, ale myślę że klerycy w pełni rekompensują te braki.

Kl. Michał: Funkcje księdza są bardzo zróżnicowane (wykładowca, prefekt, wychowawca, odpowiedzialny za sport, za kleryckie pismo „Communitas”). Jak godzi Ksiądz te różne obowiązki?

Ks. Marek: Zdawałem sobie sprawę, że nie będzie to łatwa praca, ale nie mogę narzekać. Rytm życia seminaryjnego jest ściśle określony, co daje pewien komfort pracy. Mam tylko dwa wykłady w porównaniu z pracą na parafii miałem tych godzin ponad dwadzieścia. Zasadnicze jest tu także umiejętne wykorzystanie czasu, ułożenie dnia dla spraw związanych z funkcją przełożonego i swoich, chociażby kontynuacja moich studiów z teologii duchowości. Czasem jest to praca w nocy, ale jestem do niej przyzwyczajony. (uśmiech)

Kl. Michał: W związku z Księdza studiami kolejne pytanie. W jaki sposób młody człowiek może w tym „rozkrzyczanym” świecie znaleźć czas na spotkanie z Bogiem?

Ks. Marek: Rzeczywiście świat jest „rozkrzyczany”, ale każdy człowiek potrzebuje ciszy, zastanowienia, poukładania życia. Ten czas trzeba znaleźć w sobie. Trzeba sobie zafundować taki czas by wiele rzeczy ułożyć i dobrze przeżyć swoje życie. Świat daje nam znaki, sygnały ale tylko umiejętne korzystania z nich pomaga nam znaleźć czas na ciszę nie tylko te zewnętrzną. Bardzo często człowiek w osamotnieniu i ciszy jest pełen buntu i krzyku. Trzeba zadbać o tę wewnętrzną ciszę. Dla mnie jest to zawsze modlitwa i korzystanie z sakramentów.

Kl. Michał: Prowadzi ksiądz wykłady z teologii duchowości. Jaka duchowość jest Księdzu najbliższa i jaką stosuje w swoim życiu?

Ks. Marek: Zdecydowanie jest to duchowość ignacjańska z którą spotkałem się już w seminarium poprzez rekolekcje. Zresztą z tej duchowości w dużej mierze korzystamy tu w seminarium.

Kl. Michał: Pytanie z dziedziny sportowej. Młódziez obecnie kieruje się bardziej do komputera niż na boisko (na komputerze też można zagrać w piłkę). Jaki wpływ na ludzkiego ducha ma rozwój fizyczny?

Ks. Marek: (uśmiech) Ja na szczęście wychowywałem się, gdy nie było jeszcze komputerów na taką skalę. Zawsze z kolegami lubiłem grać w piłkę. Miło wspominam lata szkolne i zajęcia sportowe. Ciężkim okresem był czas choroby podczas studium policealnego, kiedy nie było mowy o piłce. Myślę że w wychowaniu młodego człowieka sport ma bardzo ważną rolę. Przez rozwój fizyczny rozwija się cały człowiek.

wiek, jego osobowość. Do tego duch zdrowej rywalizacji sprawia, że człowiek ma dobre ambicje. Idea pokonania przeciwnika to idea pokonania swoich własnych wad. Jest to także świetny odpoczynek. Czymś niezrozumiałym jest łączenie sportu z agresją, zdziczeniem na trybunach.

Kl. Michał: Wiemy że media mają wielką siłę jak chrześcijanie mogą to wykorzystać?

Ks. Marek: Nie same media są problemem ale to co proponują. W tej samej telewizji zobaczymy rzeczy dobre i złe, destrukcyjne. Chodzi o to czym się karmimy z mediów. Widzę tu wielkie możliwości dla Kościoła na drodze ewangelizacji, a przecież na tym polu wiele już zrobiono i dalej się robi (Radio Maryja, Telewizja Trwam, nasze radio Fara, prasa), ale zawsze można jeszcze więcej. Jest to wielki sposób głoszenia Chrystusa.

Kl. Michał: Od kilku lat w naszym seminarium pracują kursowi koledzy Księdza- Ks. Dariusz Dziadosz (Rektor) i Ks. Norbert Podhorecki (Prefekt Studiów). Czy podczas seminarium coś zdradzało ich obecne stanowiska?

Ks. Marek: Moje wspomnienia z seminarium są bardzo miłe choć było czasem ciężko, ale o to także chodzi. Mówiąc o moich kolegach Ks. Dariuszu i Norbercie, to bez wątpienia byli w czołówce najzdolniejszych na kursie i przy tym byli bardzo pomocni. Pamiętam ks. Dariusza, który na VI roku pomagał nam w przepisywaniu prac magisterskich, zawsze każdy mógł na niego liczyć. Podobnie było z Ks. Norbertem. To byli solidni klerycy, zawsze przygotowani. Miło spotkać się po latach, choć w innej roli. Ale czasy kleryckie bardzo miło wspominamy.

Kl. Michał: Dziękuję pięknie za rozmowę.

Serdecznie dziękuję za rozmowę wszystkim Księżom przełożonym, którzy wśród tak wielu obowiązków znaleźli czas na podzielenie się swymi myślami o naszym seminaryjnym wieczniku, powołaniu, życiu. Niech ta posługa będzie dla Was radością. A nagrodą osiągnięcie życiowego celu i dobrzy, święci kapłani wychodzący spod Waszej ręki.





kl. Łukasz Jastrzębski

Co słysząc na Zamkowej 5?

21 wrzesień – Po wakacjach z rozgrzanym i radosnym sercem powróciliśmy w mury Seminarium, rozpoczynając kolejny okres formacji na Zamkowej.

28 wrzesień – Świątowaliśmy imieniny czcigodnych Ojców, ks. Wacława Partyki i ks. Wacława Siwaka.

29 wrzesień – gościliśmy w Seminarium Pana prof. dr hab. Leszka Woźniaka, Prorektora Politechniki Rzeszowskiej. Z zainteresowaniem w Auli Instytutu wysłuchaliśmy wykładu pt.: „Możliwości rozwoju ekonomicznego, społecznego i gospodarczego społeczności lokalnej”.

30 wrzesień – UROCZYSTA INAUGURACJA NOWEGO ROKU AKADEMICKIEGO 2006/2007

5 – 12 października – W całkowitej ciszy, odcięci od świata, uprawialiśmy rolę naszych serc w czasie rekolekcji prowadzonych przez Ojca Augustyna Pelanowskiego z zakonu Paulinów.

12 października – Umęczeni zmaganiem duchowym ruszyliśmy w plener ziemi przemyskiej, aby nabrać energii fizycznej, gdyż duchowej było sporo.

15 października – W naszym refektarzu nastąpiła „wędrowka ludów”, zmienialiśmy miejsca spożywania pokarmów, według wskazań Dziekana.

16 października – Jednym duchem, jednym sercem chwaliliśmy Boga za dar pontyfikatu Sługi Bożego Jana Pawła II i 20 lat posługi biskupiej naszego Ojca, ks. Arcybiskupa Józefa Michalika.

21 października – Gościliśmy w naszym Domu przewielebnych członków Działu Pomocy Powołaniom.

22 października – Obejrzeliśmy z wielkim wzruszeniem i łzami w oczach film „Karol – Papież, który pozostał człowiekiem”.

24 października – Duchowo powędrowaliśmy do Wspólnoty Taizé, gdy przebywał wśród nas Ojciec Marek z ekumenicznej wspólnoty założonej przez brata Rogera.

27 października – Uczciliśmy poprzez celebrację liturgiczną solenizantów księży Tadeuszów. Wieczorem odwiedził nas Prymas Polski kardynał Józef Glemp i podzielił się swoją refleksją o Prymasie Tysiąclecia.

28 października – Komańcza wita nas. Czterema super szybkimi autokarami udaliśmy się do Komańczy, aby uczestniczyć w uroczystości związanej z 50 rocznicą uwolnienia kardynała Stefana Wyszyńskiego. Następnie przez bieszczadzkie pagórki zawitaliśmy u Matki Bożej w Jaśliskach i u świętego Jana w Dukli.

29 października – Ksiądz Tadeusz Baj wraz z diakonem Mariuszem Woźnym, klerykami Łukaszem Jastrzębskim i Łukaszem Szydełko przygotowali asystę liturgiczną w czasie Eucharystii w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach. Ksiądz Tadeusz wygłosił wtedy homilię.

1 listopada – W domach rodzinnych wraz z najbliższymi przeżywaliśmy Uroczystość Wszystkich Świętych.

4 listopad – We wspomnienie świętego Karola



Boromeusza, 22 braci kleryków z kursu V wyraziło pragnienie przyjęcia i jak najlepszego przygotowania się do święceń diakonatu i prezbiteratu. Na zakończenie Eucharystii kl. Łukasz poprosił w ich imieniu o modlitwę.

5 listopad – Rodzice kleryków przygotowujących się do przyjęcia sutanny przeżywali dzień skupienia.

11 listopad – Uczestniczyliśmy w Eucharystii sprawowanej przez ks. abp. Józefa Michalika w rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę. Wieczorem bracia z kursu I przygotowali Akademię związaną z tym wydarzeniem.

12 listopad – Spełniliśmy obowiązek obywatelski, wyrażając nasz patriotyzm i miłość do Ojczyzny, biorąc udział w wyborach samorządowych.

16 listopad – Cieszyliśmy się zwycięstwem naszej seminaryjnej drużyny piłkarskiej w meczu z bratnim seminarium z Radomia. Wynik meczu 3:0 dla nas.

19 listopad – Przeżywaliśmy dzień skupienia i zadumy nad naszym życiem, drogą do Boga.

21 listopad – Ksiądz Prokurator Janusz Jakubiec czyli Dyrektor Administracyjny obchodził swoje imieniny.

29 listopad – Rozpoczęliśmy Nowennę przed Uroczystością Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, która jest także przygotowaniem alumnów kursu III do przyjęcia szaty duchownej.

3 grudzień – W ramach tzw. niedzieli seminaryjnej gościliśmy w parafiach naszej diecezji, dziękując za ofiary składane dla naszego seminarium.

6 grudzień – Do naszego seminarium zawiatał gość specjalny przynosząc grzecznym klerykom rozmaite prezenty. Bracia z roku V na jego cześć przygotowali specjalny program.

7 grudzień – W wigilię Uroczystości Niepokalanego Poczęcia NMP bracia z kursu III otrzymali sutanny. Radość była wielka.

10 grudzień – Bracia z kursu III wzbogacili naszego kleryckiego ducha przedstawiając sztukę powołaniową, związaną z obłóczynami.

19 grudzień – Swoje imieniny świętował nasz Ksiądz Rektor Dariusz Dziadosz.

20 grudzień – Przeżywaliśmy seminaryjną Wieczerszą Wigilijną. Z tej okazji klerycy roku IV przedstawili Bożonarodzeniowe jasełka.

21 grudzień – Świętowaliśmy imieniny księdza biskupa Adama Szala, a po Eucharystii z pośpiechem wyjechaliśmy do naszych rodzinnych domów.



kl. Dariusz Gibala

Inauguracja roku akademickiego 2006/2007

Vivat Academia, Vivant Profesaesores !

Dnia 30 września 2006 roku po raz kolejny uroczystie rozpoczęliśmy nowy rok akademicki w Wyższym Seminarium Duchownym w Przemyślu. Już od 21 września wszyscy czekaliśmy z wielką niecierpliwością na to wydarzenie. Przygotowania do tego dnia trwały właśnie dziewięć dni, odkąd dobiegły końca wakacje i wszyscy powróciliśmy do naszego „domu” seminaryjnego.

Dzień inauguracji rozpoczęła uroczysta Eucharystia w kaplicy seminaryjnej. Ofiarę koncelebrowali: Ksiądz Arcybiskup Józef Michalik Metropolita Przemyski wraz z Księżmi Biskupami Pomocniczymi – Adamem Szalem i Marianem Rojkiem, Prodziekanem Wydziału Teologicznego PAT w Krakowie, Księdzem

prof. dr hab. Stanisławem Hałasem, Infułatami: Księdzem Stanisławem Zygarowiczem, Księdzem Julianem Pudło, Księdzem Szurkiem z Rzeszowa, Ich Magnificencie rektorzy Księdzem Jerzym Buczkiem z Rzeszowa, Księdzem Janem Biedroniem z Sandomierza, Księdzem Janem Niemcem z Gródka Podolskiego i Księdzem Dariuszem Dziadoszem naszym rektorem.

We Mszy Świętej uczestniczyli również Kanonicy Przemyskiej Kapituły Metropolitalnej, Kapituła Brzozowskiej, Jarosławskiej, Krośnieńskiej i Przeworskiej, Księża przełożeni, profesorowie naszego seminarium, Ojcowie Duchowni, spowiednicy kleryków, Księża proboszczowie miasta Przemyśla, Dziekani z Archidiecezji oraz zaproszeni goście i my klerycy.



Po zakończonej Mszy Świętej wszyscy udaliśmy się na aulę naszego Instytutu Teologicznego na dalszą część uroczystości. Spotkanie rozpoczął Chór Seminaryjny pieśnią *Gaude Mater Polonia*.

Zebranych gości powitał rektor naszego Seminarium Ksiądz dr Dariusz Dziadosz, który podziękował za przybycie i wymienił kolejne punkty uroczystości.

Tradycją już jest, że po przywitaniu następuje część sprawozdawcza z działalności WSD w poprzednim roku i przybliżenie jego funkcjonowania zebranim gościom. Przemówienie sprawozdawcze zreferował prefekt studiów Ksiądz dr Norbert Podhorecki. Wszyscy wysłuchaliśmy go z uwagą, skupieniem i zaciekawieniem. W swojej wypowiedzi Ksiądz Podhorecki wielokrotnie dziękował księżom, którzy w poprzednim roku akademickim zakończyli pracę w naszym Seminarium.

Po części sprawozdawczej miał miejsce wykład inauguracyjny pt. "Zagadnienie inkulturacji w kontekście ewangelizacji w Papui Nowej Gwinei", który wygłosił Ksiądz dr hab. Zdzisław Kruczek CSMA, misjonarz i rektor seminarium w Mount Hagen w Papui Nowej Gwinei.

Następnie odbyła się uroczysta immatrykulacja braci roku pierwszego naszego Seminarium. Otrzymali oni z rąk Księdza rektora Dariusza Dziadosza indeksy, stając się pełnoprawnymi studentami.

Za przyjęcie 38 braci w poczet alumnów WSD podziękował doktor I roku.

Z kolei głos zabrali goście uczestniczący w uroczystości: Ksiądz prof. dr hab. Stanisław Hałas, reprezentujący Papieską Akademię teologiczną w Krakowie, Ksiądz rektor Jan Niemiec z Gródka Podolskiego, Ksiądz rektor Jerzy Buczek z Rzeszowa, który odczytał list gratulacyjny od Księdza Biskupa Rzeszowskiego Kazimierza Górnego oraz Ksiądz rektor Jan Biedroń z Sandomierza.

Nie mogło zabraknąć słowa prezydenta miasta Przemyśla, w którego imieniu przemawiał przedstawiciel p. Ryszard Lewandowski, gdyż p. prezydent nie mógł przybyć osobiście.

Wśród zaproszonych gości byli również obecni przełożeni Seminarium Tarnowskiego Ksiądz prefekt Grzegorz Ociepka i ojciec duchowny Stanisław Wajda. Obecne były również Siostry Zakonne dość licznie zgromadzone, a także ludzie świeccy i pracownicy.

Na koniec swoje słowo wygłosił Ksiądz Arcybiskup, a Chór Klerycki odśpiewał *Gaudeamus Igitur*, po czym udaliśmy się na refektarz. Odbył się tam uroczysty obiad, na który zostali zaproszeni wszyscy obecni.





Rekolekcje

kl. Kamil Gniwek

W dniach od 5 października do 12 października nasza Seminaryjna Wspólnota przeżywała czas rekolekcji świętych, które prowadził Ojciec Augustyn Pelanowski który jest ojcem duchownym w Seminarium oo. Paulinów na krakowskiej Skałce.

Ojciec rekolekcjonista poruszył sprawy związane z rozwojem życia duchowego kleryka jako przyszłego kapłana. Tematami, które podejmował Ojciec Augustyn ogólnie rzecz biorąc były: samotność, posłuszeństwo, grzech oraz odkrywanie przeszłości i prawdy o sobie. Wszystkie odnosiły się do jednego i zasadniczego problemu podjętego przez rekolekcjonistę. Była to medytacja inaczej rzecz ujmując lectio divina, czyli po prostu codzienne rozważanie Słowa Bożego.

Obrazem naszym była scena z Ogrodu Oliwnego. Na samym początku zostało posta-

niem nas samych. Powołanie kapłańskie jak i inne powołania to nie wszystko, bowiem każdy musi walczyć o wyżej wymienione Boże upodobanie. Przychodząc do Kościoła w celu wzięcia udziału w sprawowanej Eucharystii musimy wiedzieć, czym możemy się właśnie wtedy przypodobać Bogu. Bardzo poważnym problemem jest zaufanie drugiemu człowiekowi tak jak Panu Bogu. Ojciec Augustyn stwierdził, że od tego momentu stracenie Bożego upodobania jest nieuchronne. Codzienna medytacja umacnia naszą przyjaźń z Panem Jezusem, ale czym byłaby nasza wiara bez złego ducha i grzechu, który chce nas odciągnąć od Chrystusa. Największymi przeciwnikami naszego posłuszeństwa Ojcu są pycha, chciwość, nieczystość, miłość siebie ponad miłość Boga i miłość siebie ponad miłość bliźnich. Ojciec rekolekcjonista powiedział, że widząc swój grzech pocujemy obecność Boga, ponieważ przed Nim i samym sobą musimy wszystko wyznać. Szukając swojego grzechu, szukamy swojego krzyża, który jest związany z naszą główną wadą. Nie możemy uciekać od krzyża, gdyż nie prowadzi to do odnalezienia grzechu, którym ukrzyżowujemy Pana Jezusa, ale pogłębia się w nas istnienie złego ducha.

Wyznawanie przed Jezusem Chrystusem i sobą samym całej prawdy o swoim grzechu, prowadzi nas również do akceptacji swojej przeszłości, bez której nie możemy wejść w przyszłość. Nasza przeszłość została porównana do biblijnej studni, do której prędzej czy później musimy zajrzeć. Nie ma takiego dna, z którego Pan Bóg by nas nie wyostał, ale nie ma również takiego szczytu, z którego nie można spaść. Odkrywanie prawdy o sobie, swojej przeszłości i swoim grzechu jest miłe w oczach Pana, gdyż wtedy poznajemy siebie i akceptujemy naszą ułomność.

Pozwólmy Panu Jezusowi kierować naszym życiem i być na pierwszym miejscu, gdyż pozostając w cieniu Pana Boga, możemy zaznać życia szczęśliwego.

*„nie proszę już o spokój
ani o to żeby było inaczej
nie mam żalu że nie mam malucha
ani o to że mi najbliżsi rozgłębali głowę
przyszedłem podziękować że jesteś Bogiem”*

(Jan Twardowski „najbliżsi”)



wione pytanie na temat przeżywania codziennego przeżywania w ogrodzie Getsemani, którego kapłan niemalże każdego dnia doświadcza. Rodzi się wtedy uczucie samotności, które skłania nas do wsłuchania się w Boży Głos. Chęć wsłuchania się w Niego bierze się z posłuszeństwa. Dlatego wzorem prawdziwego kapłaństwa okazuje się codzienne lectio divina, odnajdywanie w niej woli Bożej i zrodzenie się pragnienia czynienia tego, co się Panu podoba. Posłuszeństwo wierze, którą otrzymaliśmy od Pan dotyczy w pierwszej kolejności nas kleryków przyszłych kapłanów, którzy muszą być wcieleniem Słowa Bożego. Posłuszeństwo w naszym życiu zarówno osób duchowym jak i świeckich wiąże się również z Bożym upodoba-



Dzień Papieski i 20-lecie Sakry Biskupiej

ks. Łukasz Nycz

16 października to dzień, w którym swą modlitwą i ciepłymi myślami otaczaliśmy dwie wielkie osoby: Sługę Bożego Jana Pawła II i naszego Arcypasterza Józefa Michalika. Nie tylko ta jedna data łączyła obie te postaci, ale i historia życia. W niedzielę 15 października obchodziliśmy Dzień papieski, który jednocześnie był początkiem roku formacyjnego w naszej archidiecezji. Z tej okazji w archikatedrze zgromadzili się przedstawiciele wszystkich ruchów i stowarzyszeń, aby wspólnie modlić się o dary Duch Świętego na kolejny rok pracy. Z tej okazji klerycy naszego Seminarium przygotowali multimedialną prezentację, w której pojawiły się najważniejsze wątki z bogatego nauczania Polaka Papieża. Prezentację uzupełniały fragmenty Tryptyku Rzymskiego i wspomnienia. Wspólnota Seminarium mogła zobaczyć prezentację w rocznicę wyboru Karola Wojtyły na papieża. Był to zarazem pierwszy punkt uroczystości 20-lecia



przyjęcia przez ks. abpa Józefa Michalika święceń biskupich. Warto zaznaczyć, że w prezentacji widoczny był wątek bliskiej znajomości naszego Arcypasterza i Jana Pawła II. O tej znajomości mogliśmy usłyszeć z ust księdza arcybiskupa. Spotkanie na auli instytutu zakończyła promocja książki jubileuszowej. Centralnym punktem obchodów 20-stej rocznicy sakry biskupiej była Eucharystia sprawowana w archikatedrze. Przybyli na nią zaproszeni goście: biskupi, księża, braci i siostry zakonne, przedstawiciele władz centralnych i samorządowych, ruchów i stowarzyszeń katolickich, a także wierni z Przemysła i okolic. Całą uroczystość zakończyła uroczysta kolacja w refektarzu seminaryjnym.

Każda rocznica skłania do refleksji, ta zwróciła uwagę na bogactwo nauczania naszego arcypasterza. Jego bogactwo zaprasza nas do głębokiej i intensywnej lektury, jak i bierzącej refleksji.



ks. Paweł Bugira

50. rocznica uwolnienia Prymasa Stefana Wyszyńskiego

- Odprawi prymicie i umrze – mówiono, gdy 3 sierpnia 1924 r. ks. Stefan Wyszyński otrzymywał święcenia kapłańskie. Był tak słabego zdrowia, że nikt nie przypuszczał, iż ma przed sobą niezłomnego i gorliwego pasterza, który w przyszłości przeprowadzi polski Kościół przez jeden z najtrudniejszych etapów w historii.

W sobotę 28.10. obchodziliśmy 50-tą rocznicę uwolnienia Sługi Bożego kard. Stefana Wyszyńskiego z 3-letniego wiewienia przez władze komunistyczne. Dzień prędzej nasza wspólnota miała zaszczyt gościć ks. prymasa Józefa Glempa, wieloletniego osobistego sekretarza Prymasa Tysiąclecia. W swoim wystąpieniu

mówił o życiu kard. Wyszyńskiego Jego rodzinnym domu, latach formacji i kapłańskiego posługiwania.

Ks. Prymas Wyszyński w obronie wiary był nieustępliwy, co przysparzało komunistom wiele trudności w procesie ateizacji społeczeństwa. Sposobem na złamanie oporu miało być uwięzienie Prymasa 25 września 1953 r. Kolejnymi miejscami internowania były: Rywałd (25 września 1953 - 12 października 1953), Stoczek Warmiński (12 października 1953 - 6 października 1954), Prudnik (6 października 1954 - 27 października 1955). Ostatnim miejscem, gdzie przebywał była Komańcza (27 października 1955 - 26 października 1956).

Tutaj 16 maja 1956 r. powstał tekst Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego. Nie chciał ich pisać w więzieniu, jednak przekonała Go Maria

1980, w trosce o pokój i dobro narodu, ustawicznie wzywał do rozważań i odpowiedzialności. W latach 1980-1981 pośredniczył w rozmowach



między władzami PRL, a Solidarnością. Zmarł 28 maja 1981 r. w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego. Ceremonii pogrzebowej przewodniczył Franciszek kardynał Macharski, a wśród zaproszonych gości obecny był Joseph kardynał Ratzinger, późniejszy papież Benedykt XVI. Pogrzeb (nazywany królewskim) zgromadził w stolicy tysiące ludzi, również niewierzących.

- Sługa Boży Stefan kardynał Wyszyński był człowiekiem Opatrzności Bożej, na wszystko przy-

Okońska, dając za przykład św. Pawła, piszącego listy do wiernych z więzienia. 26 sierpnia 1956 ok. 1,5 milionowej rzeszy pielgrzymów zebranych na Jasnej Górze odczytał je bp Michał Klepacz, pełniący obowiązki przewodniczącego Episkopatu Polski.

26 października 1956 r. zapadła decyzja o uwolnieniu Prymasa, który bynajmniej nie zaprzestał walki o wolność religijną kraju. W latach 1957-1966 przeprowadził obchody Tysiąclecia Chrztu Polski uczestnicząc również w obradach Soboru Watykańskiego II. Uczestniczył w konklawe w 1958 r., kiedy otrzymał kilka głosów i w 1963 r. (potem także dwukrotnie w 1978 r.). W czasie polskiego sierpnia

gotowany, niczym nie dawał się zaskoczyć – wspominał ks. prymas J. Glemp – Jego decyzje, zawsze były przemyślane i raz postanowione nie zmieniały się. Przy posiłku nie rozmawiał o pracy, lubił żartować, opowiadać dowcipy, choć niezbyt Mu to wychodziło.

Następnego dnia w Komańczy ks. prymas przewodniczył mszy św. W swojej homilii mówił także o tym, że dzisiaj przede wszystkim eksponuje się zło, najwięcej mówi się o przestępstwach, o tym, co dzieje się złego, pomijając działania pozytywne.

- Jestem podbudowany postawą wielu nauczycieli i uczniów, którzy propagują dobro – mówił.



Listopad, czas zadumy nad przemijaniem

kl. Łukasz Nycz

Listopad to szczególnie miesiąc jedyny i niepowtarzalny w roku, gdyż zarówno aura jak i święta w nim obchodzone skłaniają do refleksji nad śmiercią i przemijaniem. Ta zaduma, nierzadko bardzo głęboka, wypełnia również mury naszego Seminarium, choć jej źródła należy szukać na cmentarzach rozsianych po całej naszej archidiecezji, które klerycy odwiedzają podczas po-



bytu w domu z okazji święta Wszystkich Świętych. Jednak Dzień Zauszny zgromadził nas już w katedrze na wspólnej Mszy Świętej, w której prosiliśmy o przyjęcie do chwały nieba dusz będących jeszcze w czyśćcu. Przemysł cmentarz staje się w ciągu całego miesiąca stałym miejscem, do którego pielgrzymujemy w czasie przechadzki. Swą modlitwę za zmarłych łączymy z możliwością uzyskania odpustu zupełnego i cząstkowego, który ofiarujemy w inten-

cji naszych bliskich zmarłych. Wspólnota seminaryjna szczególną modlitwą otacza zmarłych profesorów i księży związanych z naszym Seminarium. W cotygodniowym sobotnim różańcu modlimy się za zmarłych z naszych rodzin, przyjaciół i znajomych, których wypisujemy na kartkach wypominkowych. Pamięć o zmarłych. Jest naszym obowiązkiem, ale i potrzebą serca, gdyż wraża nadzieję na to, że nasze życie nie kończy się tu na ziemi, a śmierć jest przejściem do lepszego świata.

Często pytamy: dlaczego ludzie umierają? Ale jak wielki jest sens śmierci możemy się przekonać w kontekście święta Odzyskania Niepodległości, kiedy to wspominamy i otaczamy modlitwą tych, którzy zginęli w walce o odrodzenie i obronę naszej Ojczyzny. Świadcstwo ich życia, a przede wszystkim śmierci, pokazują, że wszystko, nawet przemijanie, ma sens. Dlatego zapalane znicze na grobach naszych bliskich niech będą również światłem nadziei, że wszystko ma sens, a nam pozostaje go tylko odkryć.



ks. Mariusz Majewski

Seminaryjne zaręczyny czyli obłóczyny kursu trzeciego

Życie człowieka można podzielić na różne etapy i okresy. Biorąc pod uwagę klucz chronologiczny są to: narodziny, dzieciństwo, młodość, potem mogą to być różne formy życia. Najczęściej wybraną formą życia jest małżeństwo, rzadziej młodzi ludzie wybierają drogę kapłaństwa, niektórzy decydują się na drogę życia zakonnego, czy też życia konsekrowanego. Realizacja ludzkiego powołania na tych drogach ogarnia życie dorosłe człowieka, jego starzenie się, okres starości, śmierć i narodziny do nowego życia.

Wybierając drogę kapłaństwa na realizację swego powołania, człowiek rozpoczyna życie w seminarium. To życie seminaryjne także można podzielić na kilka charakterystycznych etapów. I tak kolejno na trzecim roku alumni przywdziewają sutanny oraz otrzymują posługę lektoratu, na roku czwartym stają się akolitami, rok piąty to pierwszy stopień święceń w Kościele czyli diakonat i wreszcie na szóstym roku osiągają swój cel pośredni tj. kapłaństwo, by odtąd jako kapłani dążyć do celu głównego ludzkiego życia – do osiągnięcia życia wiecznego.

7 grudnia 2006 roku 28 alumnów roku trzeciego, którego wychowawcą jest ks. Norbert Podhorecki, a kierownikiem duchowym ks. Stanisław Jamrozek, osiągnęło w przemyskim Wyższym Seminarium Duchownym ten pierwszy etap formacji seminaryjnej, czyli zostali obłeczeni w sutanny. Załączona fotografia przedstawia tych alumnów wraz z ks. bp Marianem Rojkiem w dniu Jego sakry biskupiej. Jako wyjaśnienie trzeba dodać, że nie ma wśród nas Stanisława Kozuba, znajdującego się na fotografii, który opuścił nasz kurs po II roku formacji. Na trzeci rok formacji dołączył zaś do

nas i wraz z nami przyjął szatę duchowną Marek Marekwica z parafii Kaszyce.

Ks. Piotr Kandefer, prefekt i wykładowca liturgiki w naszym seminarium uroczystość obłóczyn porównał do rzeczywistości zaręczyn, które poprzedzają małżeństwo. Tak jak pierścionek zaręczynowy staje się widzialnym znakiem przynależności dziewczyny do chłopaka, przyszłego męża, tak sutanna jest zewnętrznym znakiem przynależności do Chrystusa. Mimo, że jest to daleka analogia, to jednak dość czytelnie oddaje charakter i znaczenie tej uroczystości.

W tradycji Wyższego Seminarium Duchownego w Przemyślu, uroczystość obłóczyn związana jest z uroczystością Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

Elementem poprzedzającym te oba wydarzenia jest nowenna, w czasie trwania której zaproszony przez seminarium kapłan głosi konferencje mające usposobić nasze serca do przeżycia tych uroczystości. Sługą Słowa podczas tegorocznej nowenny był ks. prałat Zbigniew Suchy, wykładowca homiletyki w naszym seminarium i redaktor przemyskiej edycji tygodnika „Niedziela”.

Jako że obrzęd obłóczyn alumnów szatą duchowną jest uroczystością zamkniętą, na której obecna jest tylko wspólnota seminaryjna oraz zaproszeni kapłani, związani z alumnami kursu trzeciego, to jak najbardziej stosownym będzie wyjaśnić jak przebiega cała uroczystość.

Oblóczyny przypadają na 7 grudnia, na I nieszpory Uroczystości Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Liturgii Godzin przewodniczy wówczas biskup. W przypadku tegorocznych obłóczyn był to ks. bp Marian Rojek, do niedawna rektor naszego seminarium.



Nieszpory mają miejsce przy wystawionym Najświętszym Sakramencie. Po pozdrowieniu wstępnym rektor seminarium prosi o pobłogosławienie alumnów, którzy mają przywdziać szatę duchowną. Ks. biskup przypomina, że noszenie sutanny jest zewnętrznym znakiem przynależności do stanu duchownego. Następnie mówi, iż ufni w macierzyńskie wstawiennictwo Maryi, Kościół patrzy na obłóczonych jako na kandydatów do święceń kapłańskich i pyta ich czy gorliwie przygotowują się do przyjęcia tego sakramentu. Alumni mający przyjąć szatę duchowną wyznają wobec zgromadzonej wspólnoty przekonanie o powołaniu ich przez Boga do Jego służby i zapewniają o gorliwym przygotowywaniu się do przyjęcia sakramentu kapłaństwa.

Po modlitwie biskupa, odczytuje się przeznaczone na tę uroczystość perykopy biblijne, wykonuje się psalm responsoryjny oraz diakon odczytuje ewangelię, po której biskup wygłasza homilię. Po homilii alumni roku

trzeciego wychodzą do zakrystii celem ubrania sutanny i komży. Po ich powrocie następuje obrzęd błogosławieństwa. Następnie nowo obłeczeni alumni zawierają siebie, swoje powołanie Niepokalanej. Formuła aktu zawierzenia została zaczerpnięta z adhortacji Jana Pawła II „Pastores dabo vobis”. Po tym akcie jest modlitwa całego zgromadzenia, zakończona modlitwą Pańską i modlitwą biskupa. Tak w najważniejszych punktach przedstawia się uroczystość obłóczyn.

Jako nowo obłeczeni alumni przepełnieni radością z zewnętrznego włączenia nas w stan duchowny i wyrażenia chęci gorliwego przygotowywania się do sakramentu kapłaństwa śpiewamy wraz Maryją Jej hymn uwielbienia: „Wielbi dusza moja Pana i raduję się duch mój w Bogu Zbawicielu moim...”. Świadomi natomiast swoich słabości i ułomności prosimy o modlitwę abyśmy na wzór Niepokalanej Dziewicy przyjmowali i realizowali wolę Boga.



kl. Łukasz Sowa

W seminaryjnym żłótku

Boże Narodzenie jest zapewne najbardziej wyczekiwany okres liturgiczny. Jako czas wielkiej radości, nadziei która budzi się wtedy w sercach chrześcijan staje się wspaniałym ukoronowaniem roku kalendarzowego. Mimo iż na przestrzeni dziejów sposób przeżywania Bożego Narodzenia zmieniał się diametralnie to zachował się bez zmian rodzinny wymiar tego święta. Nie dziwi to, gdy uświado-

mimy sobie, że właśnie ta jednostka społeczna jest najlepszym miejscem celebrowania narodzin Chrystusa, Boga, który stając się człowiekiem został przyjęty przez rodzinę z Nazaretu.

Jako swoista rodzina nasza wspólnota również oczekuje na przyjęcie Bożej Dzieciny. Ze względu na wyjątkowość naszego seminaryjnego domu również i przygotowania do tego

czasu mają specyficzny charakter. Pierwszą oznaką zbliżania się świąt jest rozpoczęcie Adwentu, który pomaga nam przygotować się do narodzin Chrystusa. Niewątpliwie ważnym

tradycyjne potrawy, a w przerwach między ich serwowaniem rozbrzmiewa śpiew kolęd prowadzony przez profesora od muzyki i seminaryjną scholę. Nasza Wigilia kończy się, gdy już



wizualnym znakiem jest wizyta Świętego Mikołaja, który nigdy nie omija naszego domu. Ostatecznie zbliżanie się świąt zwiastują gruntowne porządki, które stają się udziałem wszystkich, a przodują tutaj nasi najmłodsi bracia. Kolejny krok do żłóbka wyznaczają pachnące świerki zwykle całkiem okazałe, które należy ustawić w wyznaczonych miejscach i odpowiednio przystroić. W tym okresie wszystkich kleryków łączy jedno - myśl o wyjeździe do domu rodzinnego. Można śmiało powiedzieć, że czekają na niego cały rok, mimo iż nie jest to jedyny wyjazd, ale na pewno jedyny, tak wyjątkowy.

Właściwa celebrowanie Bożego Narodzenia zgodna z wymogami tradycji odbywa się w przeddzień opuszczenia seminaryjnego domu. Po ostatecznych porządkach i przygotowaniu się do uroczystości, odświętnie ubrani spotykamy się całą wspólnotą w auli naszego Instytutu Teologicznego, a więc ksiądz Arcybiskup, Biskupi pomocniczy, przełożeni, profesorowie, ojcowie duchowni, siostry Rodziny Maryi posługujące w Seminarium, pracownicy świeccy wraz z rodzinami i wszyscy klerycy. To Bożonarodzeniowe spotkanie rozpoczyna się wspólną modlitwą, po której bracia diakoni wystawiają jasełka bądź sztukę o tematyce świątecznej. Po jej zakończeniu następuje moment łamania się opłatkiem i składania sobie życzeń. Ukoronowaniem naszego świętowania jest wigilia w seminaryjnym refektarzu, w której wszyscy zebrani biorą udział. Na stole pojawiają się

wszyscy się sobą nacieszą. Po zostaje teraz posprzątać po wigierzy, ale nie stanowi to żadnego problemu, gdyż podobnie jak gwiazda prowadziła mędrców ze wschodu, tak i kleryków prowadzi myśl o porannym wyjeździe do domu, i nie zakłóci jej nawet kilkaset talerzy, które należy uprzątnąć. Po tym męczącym, ale jakże radosnym dniu zakończonym modlitwą w seminaryjnej kaplicy nie ma problemu z pakowaniem, gdyż

plecaki i walizki już przynajmniej od dwóch dni są spakowane i gotowe. Można teraz spokojnie udać się na spoczynek i oczekiwać poranka. Jednak nie wszyscy mogą spać spokojnie. Bracia z kabiny technicznej muszą jeszcze, z zachowaniem ciszy nocnej, porozstawiać na każdym korytarzu głośniki (za co nawiasem mówiąc jesteśmy im bardzo wdzięczni), aby rano jedyny raz w roku obudzić wszystkich koledą, a nie dzwonkiem, który mógłby zepsuć nastrój budowany z takim wysiłkiem przez wiele dni. Po modlitwach porannych następuje moment pożegnania, który bezpośrednio poprzedza opuszczenie seminarium. Śniadanie odbywa się tak błyskawicznie, że trudno je tak nazwać. Busy i inne zorganizowane pojazdy czekają już gotowe do odjazdu, a każdy śpieszy na śniadanie do domu rodzinnego. Seminarium opuszczamy zwy-



kle w radosnych nastrojach dwa dni przed Wigilią, aby z jeszcze większą radością wrócić do niego kilka dni po Nowym Roku.



kl. Bartłomiej Zakszewski

Szkoła Modlitwy

Stało się już dobrym zwyczajem, iż w naszym Seminarium organizowane są cyklicznie tzw. „Szkoły Modlitwy”. Są to dni skupienia, na które może przyjeżdżać młodzież

czasie realizuje się lectio divina i wprowadza w modlitwę brewiarzową. Zadaniem trzeciego stopnia jest wskazać na Eucharystię jako szczyt modlitwy i Sakrament Pojednania jako miejsce



ustawicznej przemiany. Czwarty stopień to zbliżenie do tajemnicy Kościoła, w którym każdy na modlitwie odkrywa swój charyzmat i odpowiada Bogu na dar Jego powołania. Szczególnym zadaniem wspólnoty Wieczernik jest apostołat powołań duchownych. Rozumie się przez to modlitwę w intencji poszukujących drogi życia i delikatną pomoc w jej odkrywaniu. Okazją do realizacji tych zadań są spotkania Szkoły Modlitwy oraz aktywne uczestnictwo w Diecezjalnych Dniach Młodzieży. Na zakończenie Szkoły Modlitwy są pisane ankiety, w których uczestnicy wypowiadają się na temat tego, co mogli przeżyć będąc

męska uczęszczająca do szkół średnich i wzwyż. Celem tych spotkań jest pogłębianie oraz wzrastanie w życiu modlitewnym zarówno uczestników jak i alumnów należących do wspólnoty Wieczernik, która jest odpowiedzialna za prowadzenia tych dni skupienia. Uczestnicy przyjeżdżają w określonym terminie (jest to jeden z weekendów miesiąca) i przez trzy dni uczestniczą w życiu Seminarium Duchownego realizując zaplanowany program. Każdy z uczestników dostaje tzw. anioła – kleryka, który przez czas pobytu opiekuje się podopiecznym. Dzięki temu nie tylko przeżywają czas z Panem Bogiem, ale również mogą poznać od wewnątrz codzienność życia braci kleryckiej.

Szkoła Modlitwy jest zorganizowana na schemacie czterech stopni. W pierwszym stopniu uczestnicy zapoznają się z podstawowymi tematami dotyczącymi modlitwy chrześcijańskiej. Mówi się tu o istocie modlitwy i jej rodzajach. Drugi stopień ma za cel ukazać miejsce Słowa Bożego w modlitwie chrześcijańskiej, dlatego w tym

w Seminarium.

„Przedtem inaczej myślałem o drodze kleryka. Ona nie tylko opiera się na modlitwie, lecz także na przyjaźni, wspólnocie i wzajemnej pomocy. A przede wszystkim na miłości do Boga i bliźniego.”

„Nauczyłem się, że nie tylko powinienem modlić się wyuczonymi z katechizmu modlitwami, ale starać się rozmawiać własnymi słowami i myślami z Bogiem.”

„Moje patrzanie na Seminarium zmieniło się. W czasie pobytu poznałem życie seminaryjne, które przed przyjazdem tutaj było mi obce. Odkryłem, że Seminarium nie wiąże się tylko z modlitwą, ale również z codziennymi obowiązkami szarego człowieka.”



**Redakcja składa szczególne podziękowania
Wydawnictwu Archidiecezji Przemyskiej za pomoc finansową
oraz tym wszystkim, którzy przyczynili się
do powstania niniejszego numeru**

**com m unitas 2006 - Rok XXVIII
Pismo Wyższego Seminarium Duchownego w Przemyśle
ul. Zamkowa 5, 37-700 Przemyśl, tel. (016) 678 80 26
e-mail: communitasprzemysl@interia.pl
luk_lukarson@interia.pl (skład i redakcja)**

**Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania, zmiany tytułów
i redakcyjnego opracowania tekstów przyjętych do druku**

Redaktor naczelny:
kl. Michał Kozak

Redagują:

s. Elżbieta Ślemp
dk. Bobola Paweł
kl. Łukasz Babiarz
kl. Wojciech Bacior
kl. Waldemar Hareza
kl. Łukasz Jastrzębski
kl. Roman Kocaj
kl. Piotr Kokocki
kl. Michał Kozak
kl. Krzysztof Mierzejewski
kl. Marcin Piliszko
kl. Grzegorz Rupa
kl. Łukasz Szydełko

kl. Andrzej Dec
kl. Marek Kapłon
kl. Łukasz Filip
kl. Mariusz Majewski
kl. Dariusz Gibała
kl. Krzysztof Mendzios
kl. Łukasz Sowa
kl. Marcin Wilk
kl. Bartłomiej Zakrzewski
kl. Paweł Bugira
kl. Kamil Gniwek
kl. Bartosz Gręda
kl. Łukasz Nycz

Opiekuje się i całości dogląda:
ks. Marek Wilk

Zdjęcia:
kl. Witold Capłap oraz zbiory internetowe

Druk i oprawa: Techgraf - Łańcut

Projekt okładki:
kl. Piotr Czarniecki



Skład i łamanie:
kl. Łukasz Filip

Szkoła Modlitwy w Seminarium

W Wyższym Seminarium Duchownym w Przemyślu w najbliższych miesiącach planowane jest kontynuowanie spotkań dla chłopców, którzy chcieliby pogłębić swe życie modlitwy i przy okazji zetknąć się z rzeczywistością życia seminaryjnego. Spotkania te noszą nazwę „Szkoła modlitwy” i odbywają się sukcesywnie w ramach czterech stopni.

Uczestnicy przyjeżdżają we wskazany piątek na godz. 17.00, rozjeżdżają się w niedzielę po obiedzie. Biorą udział w niektórych punktach życia kleryckiego oraz realizują własny program, którego pierwszorzędnym celem i tematem jest „Wprowadzenie w życie modlitwy”.

Warunki udziału w tym spotkaniu:

- osobiste, listowne zgłoszenie się, z podaniem motywacji, na 2-3 tygodnie przed planowanym terminem spotkania,
- polecenie uczestnika przez księdza lub katechetę,
- dolna granica wieku – pierwsza klasa szkoły średniej.

Koszty dojazdu pokrywa uczestnik. Koszty wyżywienia i zakwaterowania, które obliczamy na 20 zł, związane są z dobrowolną ofiarą w zależności od możliwości finansowych uczestnika.

Mniej więcej na tydzień przed spotkaniem wysyłamy potwierdzenie przyjęcia, w którym podajemy szczegółowe informacje, a wśród nich dokładny termin. Potwierdzenie to będzie też zaświadczeniem uprawniającym do udziału w «Szkołe modlitwy».

FORMULARZ ZGŁOSZENIOWY

Imię

... ..

Nazwisko

... ..

Ulica

... ..

Kod

... ..

Miejscowość

... ..

Telefon

... ..

e-mail

... ..

gg nr

... ..

Parafia

... ..

Data

... ..

Urodzenia

... ..

Znajomy kleryk

... ..

Aktualna szkoła

... ..

Klasa

... ..

Stopień i termin szkoły modlitwy

... ..

Polecenie kandydata na szkołę modlitwy przez katechetę, proboszcza lub innego kapłana:

.....

.....

.....

.....

.....

Podpis Księdza

Terminarz „szkoły modlitwy w seminarium” w roku akademickim 2006/2007:

- 13-15 października 2006 – I st.
- 10-12 listopada 2006 – I st.
- 8-10 grudnia 2006 – I st.
- 19-21 stycznia 2007 – II st.

Terminy następnych spotkań zostaną podane w późniejszym terminie.

Zgłoszenia są przyjmowane listownie na adres:

Ks. Piotr Kandefér
Wyższe Seminarium Duchowne
ul. Zamkowa 5
37-700 Przemyśl.

lub telefonicznie:
(016) 678 80 26 w. 303,

lub też drogą internetową według formularza,
umieszczonego na seminaryjnej stronie internetowej:
www.wsd.przemysl.opoka.org.pl